



Deborah Morris



Słońce po burzy

PROLOG

- Równie dobrze możesz posłać mnie do nieba, jak i do piekła. Jest mi wszystko jedno! Wszędzie, byle nie tutaj!

- Uspokój się. - Zdegustowany głos Celestiana wydawał się już lekko poirytowany. Zdaje się, że w całej swej karierze nie spotkał kogoś równie wymagającego i niecierpliwego jak duch Willa Pendletona.

- Nigdy nie sądziłem, że bycie martwym może być aż tak nudne!

- Musisz zrozumieć, że jesteś tu właśnie po to, by nauczyć się kilku rzeczy.

Między innymi - akceptacji.

- O, jeśli o to chodzi, to rozumiem i akceptuję już wystarczająco dużo. Więcej niż kiedykolwiek mógłbym to sobie wyobrazić. - Will Pendleton westchnął żałośnie. - Zabierz mnie do Molly, proszę. Tak bardzo za nią tęsknię...

- Wszystko w swoim czasie. - Przyglądanie się cierpieniom biednej, osamotnionej duszy Willa, nawet dla kogoś tak zaprawionego w bojach jak Główny Opiekun Zbłąkanych Istnień, zaczynało być powoli trudne do zniesienia. Rzeczywiście

- Will i Molly byli dla siebie stworzeni, jak dwie połówki tej samej pomarańczy.

- Ale ja nie mam więcej czasu! - zachnął się zdesperowany męski głos. - Nie rozumiesz? Gdybym miał wrócić na ziemię właśnie teraz, znowu musiałbym zaczynać jako nieopierzony osesek, gdy tymczasem Molly jest już dorosłą kobietą. Co za zwariowany plan dla mnie przygotowałaś?!

Zamiast odpowiedzi na ustach Celestiana pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Jeśli nasze drogi mają się znów zejść, ona będzie mogła zostać najwyżej moją matką, nie żoną... - dokończył zrezygnowanym głosem Will.

- Czas jest pojęciem względnym.

- Może tutaj, w otchłani niebytu... - Mężczyzna westchnął ciężko. - Ale to i tak nie zmienia faktu, że siedzę tu już równe sto lat. Dasz wiarę? Dzisiaj mija okrągły wiek!

- Moje gratulacje. A na poważnie - usiądź, proszę.

- Wielkie dzięki! Tak się jednak składa, że przez ostatnie sto lat nie robiłem niczego innego. I mam tego po dziurki w nosie! Czy nie rozumiesz? - Duch Willa zawył w bezsilnej rozpacz. - Moje miejsce jest na ziemi. Powinienem być wśród swoich i stać na straży prawa. Czyli robić dokładnie to, co wychodzi mi najlepiej!

Rzeczywiście, duch Willa, ilekroć pojawiał się na ziemi, zawsze służył innym. Czy to jako teksański szeryf, czy policjant w jednym z małych miasteczek w północnej części Stanów, muszkieter, strażnik pałacowy, czy wcześniej - rycerz z drużyny królewskiej. Każde z jego wcieleń zataczało pełne trzysta sześćdziesiąt stopni i z większym lub mniejszym żalem kończyło swój ziemski żywot.

Jednak ostatnim razem stało się inaczej. Will, odchodząc nieoczekiwanie ze świata żywych, pozostawił po sobie kilka niedokończonych spraw.

Były szeryf oparł się o biurko i spojrzał błagalnie w oczy Celestiana.

- Czuję się taki... bezużyteczny - wyrzucił z siebie.

- Proszę, daj mi coś do zrobienia. Cokolwiek. Przecież nie mogę przesiedzieć w ten sposób reszty swego życia.

- Technicznie rzecz ujmując, nie powinno ci to sprawiać różnicy - jesteś przecież martwy.

Wściekły, przeciągły świst rozdarł nieoczekiwanie ciszę panującą w niewielkiej przestrzeni Recepcji. Tak Celestian nazywał miejsce, w którym przebywali.

- Jestem martwy, ponieważ ty dopuściłeś się pewnej bardzo rażącej pomyłki, ptasi mózdzku! Pamiętasz?!

- Właściwie martwy to też nie najlepsze słowo - zastanowił się Celestian, jakby nie dosłyszał irytacji w głosie Willa. - Jesteś, można powiedzieć, chwilowo nieczynny.

Wzrok Willa nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości co do tego, co sądzi o swym rozmówcy jego właściciel.

- Tak jakby mogło to stanowić jakąkolwiek różnicę - warknął przez zęby. - Wiem jedno - kobieta, którą kochałem i z którą chciałem spędzić resztę swego życia, umarła w smutku i samotności, ponieważ ty nieoczekiwanie postanowiłeś przerwać moje ziemskie bytowanie. A było to wiosną tysiąc dziewięćset trzeciego roku, wkrótce po tym, jak oświadczyłem się Molly i jak zostałem przez nią przyjęty. Przez swoją głupią pomyłkę unieszczęśliwiłeś więc nie jedno, a dwa Bogu ducha winne ludzkie życia! Mam mówić dalej?!

- Duch nie umiera nigdy. Jedynie jego ziemski żywot dobiega końca, po to, by po jakimś czasie odrodzić się w kolejnym cyklu - krótko i rzeczowo wtrącił Celestian.

- Najwyraźniej nie słuchałeś zbyt uważnie, kiedy starałem się wytłumaczyć ci istotę procesu transformacji.

Choć Celestian nie chciał się do tego przyznać, sytuacja stawała się więcej niż poważna.

Krótko po tym, jak rozpoczął pracę w Departamencie Sił Naturalnych, na skutek niefortunnej pomyłki, na niebie, nad głową wracającego właśnie z pracy Willa Pendlentina, pojawiła się charakterystyczna świetlista luna. Mężczyzna został porażony piorunem.

Lekarz stwierdził śmierć na miejscu i tym samym ziemski żywot Willa dobiegł końca.

Jako przedwcześnie zmarły trafił do Sekcji Zbłąkanych Istnień, a Celestian, wola szefostwa na górze, został mianowany jego Głównym Opiekunem.

Na swą obronę miał tylko tyle, że praca w Departamencie Sił Naturalnych była dla niego kompletnie nowym doświadczeniem i obiektywnie rzecz biorąc, miał przecież prawo do pomyłek - takich chociażby jak nieprawidłowe obliczenie odległości między niebem a ziemią i w związku z tym błędne wyliczenie trajektorii lotu pioruna.

Grom był przeznaczony dla pewnego recydywisty

- wielokrotnego mordercy i rabusia - pech jednak chciał, że trafił w Willa. Na domiar złego - na trzy dni przed jego ślubem.

- Chcę wrócić na ziemię. - Zdecydowanie w głosie byłego szeryfa sięgnęło zenitu, a chwila ciszy, jaka potem nastąpiła, podkreśliła jedynie jego desperację. -

Przecież musi istnieć jakaś szansa dla mnie i Molly. Musi być jakieś wyjście!

- Rzeczywiście, istnieje pewna możliwość, jednak...

- ...?

- ... robimy to niezwykle rzadko.

- Chcę wrócić na ziemię! Natychmiast!

- To nie jest takie proste. Potrzebujemy odpowiedniego ciała. Przecież nie chciałbyś wrócić do swojej ukochanej jako karaluch, mam rację?

- Czasami zaczynam wątpić... - Smutek, jaki przebijał ze słów Willa, potrafiłby złamać najbardziej zatwardziałe serce. Sęk w tym, że Celestian nie posiadał w ogóle tego organu. - Więc rzeczywiście ja i Molly moglibyśmy znowu być razem?

- Powtarzam, istnieje taka możliwość, o ile spełni się kilka podstawowych warunków. Przypuśćmy, że znajdziemy odpowiednie ciało, które we właściwym momencie znajdzie się w odpowiednim miejscu. Jego duch musi opuścić je na chwilę przed tym, zanim dojdzie do Przeniesienia. Szanse, że wszystkie warunki zostaną spełnione równocześnie, są...

- ...bliskie zeru, wiem.

- Poza tym w tym wypadku biurokracja może okazać się barierą nie do przebycia. Z tego, co wiem, zgoda na dokonanie Przeniesienia musi przejść przez wszystkie szczeble administracji. To może trochę potrwać.

- Do diabła z procedurami! Chcę wrócić i obojętne w czym ciele! Jesteście mi to winni!

Celestian zawahał się. Biorąc pod uwagę desperację Willa, chyba nie najlepszym pomysłem było wspomnianie o ewentualnych komplikacjach, jakie może nieść ze sobą Przeniesienie.

Zresztą, szanse na powodzenie całego przedsięwzięcia były jak jeden do miliona. Podobnie jak na to, że w Willa Pendletona mógłby trafić piorun. Ponownie.



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zanosiło się na burzę. Zachmurzone niebo wyglądało jak ciężki, rozpostarty nad ziemią namiot, który lada chwila zwali się i przygniecie swoim ciężarem pospiesznie przemykających po ulicach przechodniów.

Świetliste serpentyny błyskawic raz po raz rozświetlały mroczne, deszczowe niebo. Jak na początek maja wieczór wydawał się wyjątkowo duszny.

Taka pogoda nie wróżyła nic dobrego. Doktor Mallory Peterson była tego pewna.

Zamknęła za sobą drzwi kliniki i niechętnie rozejrzała się wokół. Przeciągłe wycie wiatru i głuchy odgłos grzmotu spowodowały, że przez jej ciało przebiegł nagły, paraliżujący dreszcz.

Właśnie zakończyła dziesięciogodzinny dyżur i nie potrafiła już myśleć o niczym innym jak tylko o spokojnym piątkowym wieczorze, który zamierzała spędzić w domu w towarzystwie dobrej książki i torebki popcornu. Dużej torebki popcornu. Zasłużyła na to.

Byle jak najszybciej znaleźć się w domu, przebiegło przez głowę pani doktor. Na szczęście mieszkała kilkadziesiąt metrów od kliniki. Chwyciła swoją torbę ze sprzętem medycznym i ruszyła przed siebie.

W samą porę, bo świat właśnie zaczynał wyglądać tak, jakby upomniały się o niego wszystkie moce piekielne.

Po chwili szybkiego marszu doktor Peterson była na miejscu.

Z przyjemnością ogarnęła wzrokiem gęsty, równiutko przystrzyżony trawnik otaczający jej niski, na biało otynkowany dom.

Zmęczonej kilkudniowymi upałami zieleni trochę deszczu nie zaszkodzi, pomyślała. Pierwsze, grube krople uderzyły właśnie w jej odsłoniętą twarz.

Rzeczywiście, trawa i kilka kęp kwiatów rosnących na działce wyglądały tak, jakby nie marzyły o niczym innym jak o porządnym prysznicu.

Jednak chyba żadna ulewa nie przywróci do życia suchych badyli, których łan rozciągał się na prawo od drewnianego ogrodzenia dzielącego teren doktor Peterson od działki Joego Mitchuma.

Mallory z niechęcią zerknęła na podwórko sąsiada.

Zresztą, sąsiad to za dużo powiedziane.

Bezczelny i pozbawiony wszelkich zasad moralnych drań nie zasługiwał na ten tytuł. Sąsiedztwo wymaga przecież zachowania bodaj odrobiny przyzwoitości - a Joe Mitchum najprawdopodobniej nie posiadał nawet takiego słowa w swoim słowniku.

Po tym, jak jego była żona zdecydowała się wreszcie na wyrzucenie go nie tylko ze swego życia, ale i z domu, Joe przeprowadził się do starej, znalezionej na złomowisku przyczepy, na nieszczęście wybierając sobie sąsiedztwo Mallory. Za całe wyposażenie wystarczały mu stół, łóżko i ogromny, dwudziestodzieściocalowy telewizor.

Nie licząc kilku, często zresztą zmieniających się, kobiet, jedyne towarzystwo Mitchuma stanowiła horda psów, z których najmniejszy był wielkości cielaka. Zwierzęta nigdy nie zaznały widoku trzech rzeczy: pełnej miski, wanny z wodą i gabinetu weterynarza.

Pomimo to, o dziwo, zdawały się być do swego pana niezwykle przywiązane.

Zdaniem Mallory potwierdzało to jedynie starą, słuszną prawdę, że żaden mężczyzna nie jest w stanie upaść tak nisko, by nie znalazła się kobieta lub przynajmniej pies, którzy nie chcieliby dzielić z nim swojego losu.

Doktor Peterson jeszcze raz z odrazą obrzuciła wzrokiem sąsiedztwo. Miejsce, w którym mieszkał Mitchum, powoli zaczynało stanowić zagrożenie dla zdrowia mieszkańców Slapdown. Nieskończoną ilość razy prosiła Joego, by zechciał uporządkować choćby część swych śmieci, jednak jej argumenty zdawały się trafiać w kompletną próżnię.

Ostatecznie postanowiła rozwiązać problem na drodze oficjalnej - złożyła skargę do władz miasta.

Przyspieszyła kroku, po raz kolejny dziwiąc się, jak w tak krótkim czasie udało się Mitchumowi zebrać na swojej działce aż taką ilość wszelkiego rodzaju rupieci.

Jeszcze chwila, a z nieba powinna lunąć prawdziwa ulewa, pomyślała.

Na nieszczęście Joe był na zewnątrz. W swych przyciasnych dzinsach i czarnym, szczelnie opinającym klatkę piersiową podkoszulku wyglądał niechlujnie i odpychająco, jak zawsze.

Mallory nigdy nie podejrzewała go o zbyt dużą inteligencję, jednak to, czego świadkiem była w tej chwili, przeszło jej najśmielsze oczekiwania. Jakby kompletnie nie zdając sobie sprawy z zagrożenia, mężczyzna wspiał się na jeden ze słupów elektrycznych i z zacięciem manipulował zwisającymi z niego kablami.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?! - wykrzyknęła Mallory, przekonując w duchu samą siebie, że nic, co robi Joe Mitchum, nie powinno być jej sprawą.

- Pożyczam sobie trochę prądu! - odkrzyknął, zerkając w dół w jej kierunku. - Powietrze jest tak naelektryzowane, że aż żal nie skorzystać!

Jego usta wykrzywiły się przy tym w coś na kształt uśmiechu. Dziwne, ale nigdy dotąd nie zauważyła, jak równe i białe miał zęby.

- Zwariowałeś?! Czy może po prostu brak ci wyobraźni?!

- To stara sztuczka. - Poprzez kolejny, silniejszy od innych podmuch wiatru ponownie dobiegł ją jego głos: - Może chcesz się przyłączyć? Pooglądamy razem MTV? Tylko weź ze sobą kilka piw!

Twarz Mallory wykrzywiła się z odrazą.

- A na wypadek, gdybyś nie zauważył, zbiera się na burzę!

- Lepiej więc zmykaj do domu, księżniczko! Jesteś tak słodka, że deszcz mógłby cię rozpuścić.

Kilka wilgotnych już, ciemnych loczków przylepiło się do jej policzków i Mallory poprawiła je ruchem ręki.

- Rozumiem, że nie uważałeś zbyt pilnie na lekcjach fizyki, jednak jakieś podstawy musiałeś przecież wynieść ze szkoły - rzuciła, dziwiąc się, dlaczego poświęca tej kreaturze aż tyle swego cennego czasu. Książka i paczka popcornu były już przecież w zasięgu ręki.

- Czy ty w ogóle rozumiesz, co to jest wyładowanie elektryczne?

- Pewnie - potwierdził Joe, ponownie ukazując światu biel swoich zębów. - Elektryczność to coś, dzięki czemu świat się kręci, mam rację? Czy to raczej miłość?

- Nie igraj z ogniem, Einsteinie.

I o ile ją samą los Joego Mitchuma naprawdę niewiele obchodził, o tyle przyszłość jego trzyletniej córeczki, Chloe, już nie była jej tak do końca obojętna. Być może Joe był najgorszym ojcem na świecie, ale był.

- Zejdź na dół - spróbowała ponownie.

- Nie wsadzaj palców między drzwi, księżniczko! - dobiegło ją w odpowiedzi.

Miał rację. Jeśli dorosły, w pełni świadomy tego, co robi, mężczyzna postanawia ryzykować życie dla kilku voltów energii, dlaczego miałyby mu w tym przeszkadzać? Każdy ma prawo do rozrywki, cokolwiek by to nie znaczyło. A propos - nie może pozwolić, by torebka prażonej kukurydzy czekała na nią zbyt długo!

Odwróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie.

Nie uszła nawet kilku kroków, gdy nagle przeraźliwy błysk rozdarł niebo, rozświetlając najbliższą okolicę upiornym blaskiem. Na dźwięk grzmotu Mallory podskoczyła jak oparzona. Tym razem piorun musiał uderzyć naprawdę blisko.

Rozejrzała się dookoła. Słup elektryczny, na którym przed sekundą widziała Mitchuma, był pusty. Za to z trawnika poniżej raz po raz wystrzeliwały w górę fontanny świetlistych iskierek. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co widzi, Mallory podeszła bliżej.

Na ziemi, bezładnie, nie zdradzając najmniejszych oznak życia, leżało ciało Joego Mitchuma.

Kompletnie zszokowana Mallory podbiegła do leżącego.

W tym samym momencie niebo jakby się otworzyło i lunął ulewny deszcz.

Spodnie i koszulka Mitchuma były osmolone, jednak on sam nie wydawał się być poparzony. Miał szczęście. Najprawdopodobniej piorun nie uderzył w niego samego, lecz gdzieś obok. Sąsiedztwo słupa elektrycznego i wiązka kabli, którą trzymał w ręku, zrobiły jednak swoje. Mężczyzna nie oddychał, a akcja serca na skutek wstrząsu elektrycznego została zatrzymana.

Mallory sięgnęła po swój telefon komórkowy i drżącą ręką wystukała numer. Zanim przyjedzie ambulans ze szpitala w Midland, minie nie mniej niż kwadrans. Do tego czasu życie Joego Mitchuma pozostawało w jej rękach.

Niemal nie zastanawiając się nad tym, co robi, odruchowo zbliżyła swe usta do jego warg i machinalnie wykonała serię wdechów. Ucisk na klatkę piersiową i kolejna partia wdechów. I jeszcze raz, i kolejny.

- No, dalej! - wyszeptała.

Od dawna wiadomo, że mózg każdego normalnego człowieka może przeżyć bez tlenu nie dłużej niż trzy minuty. W tym wypadku sprawa wyglądała nieco inaczej.

Joe Mitchum nie mógł ryzykować utraty choćby jednej ze swych nielicznych szarych komórek...

Po kilku niemiłosiernie długich seriach wdechów i wielu uciskach na klatkę z ust Joego dobiegło jakieś głuche chrapnięcie. Mężczyzna z trudnością i ledwie wyczuwalnie zaczął oddychać. Na jego bladej twarzy pojawił się cień koloru.

- Do diabła, nie poddawaj się, Mitchum! - wyszeptała Mallory, z napięciem wypatrując kolejnych oznak życia. Nawet jeżeli przypuszczała, że jego odejście oznaczałoby dla świata prawdopodobnie więcej pożytku niż straty, to przede wszystkim była przecież lekarzem. Chociaż z drugiej strony, może w ten sposób właśnie upomniało się o niego samo piekło?

- Wracaj, słyszysz?! - powtórzyła roztrzęsionym głosem. Mitchum musiał mieć nie więcej niż trzydziestkę - przed nim jeszcze wiele lat życia. Kto wie, może nawet kiedyś się zmieni? - Nie zapominaj o Chloe! Do diabła, nie umieraj!

Na szczęście w tym samym niemal momencie do jej uszu dobiegł przeciągły odgłos syreny.

Will Pendleton z trudem podniósł powieki. W ciągu kilku ostatnich lat swego życia, które spędził jako teksański szeryf, nieraz przychodziło mu budzić się w różnych dziwnych miejscach. Przywykł nawet do tego. Czasami jedynym sufitem, jaki miał nad głową, był błękit nieba.

Jednak to, czego doświadczał w tej chwili, spowodowało, że po całym jego ciele przebiegł krótki, elektryzujący skurcz. Czym innym bowiem było budzenie się w całkowicie nieznanym miejscu, a czym innym obudzenie w kompletnie obcym ciele!

Ostrożnie, na ile pozwalały mu opatrunki, rozejrzał się wokół. Wszystko było dziwnie białe. Doliczył się pięciu łóżek. Na każdym ktoś leżał.

Spróbował się poruszyć, jednak najmniejsza zmiana pozycji sprawiała mu ból.

Co to za miejsce? Gdzie on się, do diabła, znajdował? Czy Przeniesienie zostało zakończone? Czy może był dopiero w jego trakcie? A może w ogóle do niczego nie doszło? Może nadal tkwił w tym cholernym niebycie, a jedyne, co uległo zmianie, to jego forma?

Wszystko stało się tak szybko. Zbyt szybko. Celestian ostrzegał przecież wyraźnie, że szansa na to, by Przeniesienie mogło się udać jest jak jeden do miliona. Tak samo jak ponowne spotkanie na swej drodze Molly. Krótko mówiąc, nie powinien sobie robić zbyt wielkich nadziei...

Z tego, co wiedział od Celestiana, Molly, po swojej śmierci w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat, po kilku latach narodziła się ponownie. Tym razem jako Mallory Peterson, jedyne dziecko w pewnej ubogiej, choć pracowitej i bardzo porządnej rodzinie.

Panna Mallory z czasem spełniła swe dziecięce marzenia i została lekarką, po czym podjęła pracę w klinice w swym rodzinnym miasteczku.

Oczywiście nic z tego, co przeżyła jako Molly, nie utrwaliło się w świadomości Mallory, tak że gdyby jakimś cudem dane im było ponownie się spotkać, musiałby walczyć o jej miłość po raz drugi. Najmniejsze wspomnienie, najdrobniejszy gest czy słowo, jakie kiedyś ich łączyły, przepadły bezpowrotnie w bezlitosnej otchłani niepamięci.

Ale takie właśnie były zasady.

Tak samo jak ta, że gdyby kiedykolwiek jeszcze spotkał na swej drodze Molly, ani słowem nie mógłby wspomnieć jej o tym, kim jest naprawdę i skąd się tu wziął.

A z ostatnich słów Celestiana wynikało, że tym razem miałyby pojawić się na ziemi jako...

Will przymknął powieki i skupił myśli, ze wszystkich sił usiłując przypomnieć sobie nazwisko mężczyzny, którego ciało miał zająć.

Mitchum? Joe Mitchum? No, w każdym razie jakoś tak.

Jeszcze raz spróbował się poruszyć, jednak ból w okolicach stóp ponownie ostudził jego zapaly.

Zaraz, zaraz, czy to, że czuje ból, że w ogóle cokolwiek odczuwa, nie jest najlepszym dowodem na to, że...

Że Przeniesienie jednak się udało?!

Na myśl o tym strach i ogromne podniecenie mieszały się w jego duszy w jedną, wybuchową mieszankę. Bo jeśli to prawda, doktor Mallory Peterson powinna pojawić się tu lada chwila!

Najwidoczniej musiał stracić na chwilę przytomność, bo kiedy ponownie podniósł powieki, ujrzał starszą, niewysoką kobietę. Uważnym wzrokiem wczytywała się w coś na karcie zawieszanej w nogach jego łóżka. Na widok otwartych oczu pacjenta rozpromieniła się.

- Więc wreszcie zdecydował się pan wrócić, panie Mitchum?

- Wrócić? - powtórzył niewyraźnie, bo z jego zachrypniętego, wysuszonego gardła z ledwością wydobywał się jakikolwiek dźwięk. - Dokąd? Co to za miejsce?

- Jesteśmy w szpitalu - pospieszyła z wyjaśnieniem kobieta. - Miał pan wypadek. Pamięta pan, co się wydarzyło?

- Niezbyt wiele. Kim pani jest?

- Nazywam się Kathy. Jestem pielęgniarką i będę się panem dzisiaj opiekowała. - Mówiąc to, uśmiechnęła się serdecznie. - Pańskie ciśnienie jest już niemal w normie. Jak pan się teraz czuje?

- Jak po uderzeniu pioruna.

- Nic dziwnego. - Kobieta ponownie uśmiechnęła się. - Proszę postarać się przespać. Pani doktor zaraz powinna się u pana zjawić.

- Czy chodzi o Moll... o Mallory? - wyjąkał. - Czy to ona będzie się mną opiekować?

- Ma pan zapewne na myśli doktor Peterson? - upewniła się pielęgniarka. - Czy chciałby się pan z nią zobaczyć?

- Tak. - Na samą myśl o takiej możliwości Will poczuł, że zaczyna brakować mu tchu. - Proszę...

Na ten moment czekał przecież od stu lat! Mimo że doktor Mallory Peterson nie wygląda, nie zachowuje się i nie myśli jak jego dawna Molly, niczego nie pragnął bardziej niż tego, by wreszcie móc się z nią spotkać.

Pielęgniarka, mierząc tętno, przytrzymała chwilę w dłoniach jego nadgarstek, po czym zapisała coś w karcie.

- Nie wiem, czy doktor Peterson jest jeszcze w szpitalu - odezwała się wreszcie. - Być może poszła już do domu.

- Nie! - wykrzyknął, zanim zdążył nad sobą zapanować. Sto lat to chyba wystarczająco długi okres, by nie widzieć swojej ukochanej! Nie chciał czekać ani minuty dłużej.

- Proszę się uspokoić. - Pielęgniarka wyraźnie przestraszyła się jego gwałtownej reakcji. - Mam numer jej komórki. Spróbuję ją odnaleźć.

- Dziękuję... - Mężczyzna bezsilnie opadł na poduszki. - Po prostu muszę ją zobaczyć.

- Niech pan spróbuje troszeczkę odpocząć. Zobaczę, co da się zrobić.

- Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. - odezwała się Mallory, siadając na wprost doktora Andrew McKinleya z kubkiem czarnej kawy w ręku.. - Dasz wiarę? Zupełnie jakby wszystkie siły natury sprzysięły się przeciwko niemu.

- Nie wierzę własnym uszom, Mal. - Doktor Andrew uśmiechnął się z życzliwą dezaprobatą. - To, co mówisz, kłóci się z wszelkim zdroworozsądkowym sposobem myślenia. To zupełnie do ciebie niepodobne.

- Wiem, ale to wszystko było naprawdę niesamowite.

- To, co naprawdę jest w tym niesamowite, to fakt, że on nadal żyje. - Doktor McKinley spojrzał na Mallory uważnie. - Uratowałaś mu życie, wiesz o tym?

- Wiem - Mallory przytaknęła krótko. - W końcu po to jesteśmy, czyż nie?

Andrew odpowiedział uśmiechem.

- Dlaczego nie wrócisz do domu? - zagadnął po chwili ponownie. - Czyżbyś naprawdę nie miała nic lepszego do zrobienia w piątkowy wieczór?

- Tak się składa, że nie - Mallory roześmiała się. - Poza tym, naprawdę jestem ciekawa, jak sobie poradzi. W końcu niecodziennie ratuje się czyjeś życie.

Rzeczywiście, tak właśnie myślała. Jednak w jej nadobowiązkowym zainteresowaniu stanem Joego Mitchuma było coś jeszcze. Coś, co ciężko jej było wytłumaczyć nawet przed samą sobą - zupełnie, jakby między nią a jej nienawidzonym sąsiadem pojawiła się nagle jakaś niewidzialna więź. Coś, co kazało jej być przy nim, na wypadek gdyby nagle potrzebował jej pomocy.

Od zawsze żyła w przekonaniu, że praca i wykształcenie są w jej życiu najważniejsze i im właśnie podporządkowała całą resztę, z życiem osobistym włącznie.

Odkąd sięgała pamięcią, jedynym jej marzeniem było zostać lekarką.

Już jako dziecko żyła w silnym przeświadczeniu, że gdy dorośnie, będzie leczyć ludzi, będzie im pomagać i ratować ich życie. Marzenie stało się determinacją, kiedy to na trzecie urodziny rodzice podarowali jej dziecięcy zestaw narzędzi lekarskich. Od tej pory nie mówiła i nie myślała o niczym innym, aż do czasu ukończenia szkoły i egzaminów na wydział lekarski. Nie interesowały jej ciuchy, kosmetyki, zabawy. Wszystkie zaoszczędzone pieniądze przeznaczala na książki lub dodatkową naukę.

Z czasem jej zdolności i ambicje zostały zauważone. Władze rodzinnego miasteczka i jego mieszkańcy ufundowali stypendium, dzięki czemu mogła dalej się kształcić. Była szczęśliwa.

Kiedy zdała już wszystkie egzaminy i otrzymała dyplom, wróciła do Slapdown, by właśnie tutaj rozpocząć swą zawodową praktykę. W ten sposób chciała choć w części spłacić dług, jaki zaciągnęła u swoich sąsiadów.

Pociągnęła kolejny łyk ze swojego kubka.

Kawa zdążyła już całkiem wystygnąć.

Nieoczekiwanie rozległ się znajomy dźwięk dzwonka.

Doktor Peterson sięgnęła do kieszeni i spojrzała na swoją komórkę.

- Mitchum się obudził - oznajmiła po chwili. Andrew podniósł zaniepokojony wzrok.

- Czy wiadomo coś jeszcze?

- Tylko to, że chce się ze mną widzieć.

- Chodźmy więc. - Doktor McKinley podniósł się z miejsca. - Trzeba będzie ustalić kilka rzeczy. Na przykład, czy nie doszło do jakichś trwałych uszkodzeń mózgu.

- Nie zapominaj, że ten człowiek nieomal skończył na tamym świecie. Wszystko jest możliwe.

Na dźwięk obcego męskiego głosu, Will uniósł powieki.

- Nazywam się doktor McKinley - mówił ubrany w biały fartuch mężczyzna, stojący w nogach łóżka. - Doktor Peterson już pan zna, jak przypuszczam.

Czy ją znał? Dobre pytanie! Była przecież częścią jego samego, drugą połówką pomarańczy! To prawda, wyglądała inaczej. Różniła się od Molly, którą zapamiętał. Na pierwszy rzut oka niemal nic już nie wyglądało tak samo. Nic, prócz tak dobrze mu znanej isierki w miodowo-złotym spojrzeniu i prócz uśmiechu kryjącego się w kącikach ust.

- Jestem pani winien podziękowania, doktor Peterson - wyszeptał, ze wzruszenia z ledwością mogąc wydobyć z siebie głos.

- To naprawdę cud, że byłam w pobliżu, kiedy to się stało - odpowiedziała.

- Nie nazwałbym tego cudem - wymruczał.

- Nie rozumiem...

- Nieważne. - Musiał być ostrożny. Niczym, najmniejszym gestem czy zbyt pochopnym słowem, nie wolno mu było zdradzić, kim naprawdę jest i skąd się tutaj wziął.

Will Pendleton nie istniał, odszedł dawno temu, a jedyna osoba, która do końca swych dni chowała w swym sercu pamięć o nim, jego ukochana Molly, odeszła również, i to przed laty.

Teraz istniał jako Joe Mitchum i nie wolno mu o tym zapominać.

Pytanie tylko, kim był zagadkowy Joe. Jakim mężczyzną, jakim człowiekiem? I najważniejsze - jakie stosunki łączyły go z doktor Peterson?

Po wstępnych oględzinach przeprowadzonych przez doktora McKinleya, okazało się, że Joe Mitchum mógł naprawdę mówić o ogromnym szczęściu. Na jego ciele znajdowało się zaledwie kilka głębszych oparzeń i parę zadrapań. Wydawało się, że ze spotkania z piorunem wyszedł w zasadzie bez szwanku. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Kiedy będę mógł wrócić do domu? - zapytał, gdy doktor McKinley zajął się wypełnianiem karty wiszącej w nogach łóżka.

- Musi pan uzbroić się w cierpliwość - usłyszał w odpowiedzi. - Kiedy tylko poczuje się pan trochę lepiej, przeprowadzimy kilka testów. Jeśli wszystko wypadnie pozytywnie, najdalej za parę dni wypuścimy pana.

Chwilę po tym, jak doktor McKinley wyszedł z sali, Will-Joe zwrócił się w stronę Molly-Mallory.

- Pielęgniarka powiedziała, że zawdzięczam pani życie.

- Taki mam zawód - odparła skromnie. - Czy pamiętasz, co tak naprawdę się wydarzyło?

- Niezbyt dokładnie. - Joe przymknął powieki. Czuł się obolały i bardzo zmęczony.

Cóż takiego mógł jej zresztą powiedzieć? Czy to, że pierwszą rzeczą, jaką poczuł tu, na ziemi, był ciężar jej ciała, gdy ze wszystkich sił naciskała na jego klatkę piersiową, próbując przywrócić go do życia? Czy może to, że do tej pory czuje jej ciepło i zapach, który rozpoznałby na końcu świata?

Poprawił się w łóżku, próbując wyczuć granice swego nowego ciała. Czuł się jak ktoś, kto mierzy na nogę za małe buty i kto, co gorsza, od tej pory, niezależnie od tego, jak bardzo by mu było niewygodnie, będzie musiał je nosić.

- Czy może mi pani opowiedzieć o wypadku? - zapytał.

Zrobiłby wszystko, by zatrzymać ją przy sobie choć odrobinę dłużej.

- Nie dzisiaj - odparła. - Wszystko, czego teraz potrzebujesz, to spokój.

Po tych słowach wstała i jakby sama nie mogła się zdecydować, czy powinna odejść, czy może jednak zostać, dodała:

- Spróbuj odpocząć. Jutro postaram się do ciebie zajrzeć. Sprawdzę, jak się czujesz.

Kiedy odwróciła się, by wyjść, chwycił w swe ręce jej dłoń.

- Nie odchodź, proszę... - Ich palce splotły się automatycznie, tak jakby nie było nic bardziej naturalnego.

Ona również musiała to poczuć, był tego pewien.

Zdziwienie i jakiś niewysłowiony żal odmalowały się na jej twarzy, w chwili gdy oswobadzała dłoń z jego uścisku.

- Nie ruszaj się, postaraj się zasnąć - powtórzyła.

Zanim zdążył cokolwiek zrobić, odwróciła się na pięcie i po prostu wyszła.

Bezsilnie opadł na łóżko. Nie wiadomo dlaczego, nagle poczuł się bardzo, bardzo zmęczony. Jakby wydarzenia ostatnich godzin dały o sobie znać ze zdwojoną siłą.

Ale silniej od zmęczenia odczuwał rozczarowanie. Przecież na ten moment czekał od tak dawna, a gdy nadszedł - nie wydarzyło się nic. Kompletnie nic. Mallory go nie rozpoznała. Widziała w nim jedynie pacjenta, któremu uratowała życie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Całą sobotę Mallory poświęciła na sprzątanie. W tygodniu nie miała na to zbyt wiele czasu.

Na całe szczęście było to zajęcie, które nie przeszkadzało w swobodnym rozmyślaniu o wszystkim, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni, w szczególności zaś o osobie Joego Mitchuma i jego wypadku. Wiele by dała, żeby dowiedzieć się, co znaczyła ta dziwna tęsknota i jakiś zagadkowy smutek, który odnajdywała w jego spojrzeniu zawsze, ilekroć na nią spoglądał.

Tym bardziej że pod wpływem tego spojrzenia i w niej budziły się jakieś nowe, nie znane dotąd emocje. Coś jakby mgliste, ulotne wspomnienie wypełniało nagle jej pamięć, wzbudzając w sercu tęsknotę za czymś, czego nigdy tak naprawdę nie przeżyła... Wspomnienie o czymś, czego nawet nie przeczuwała, nie mając pojęcia, że istnieje.

Było to tym dziwniejsze, że znała Joego od lat i nigdy nie łączyło ich nic więcej poza wzajemnymi animozjami.

Może zresztą całe to wydarzenie było o wiele mniej skomplikowane, niż starała się to sobie wmówić? Może w spojrzeniu Joego Mitchuma nie było nic więcej niż zwykła, ludzka wdzięczność, a nią samą powodowało jedynie poczucie odpowiedzialności za jego los? W końcu niecodziennie ratuje się czyjeś życie...

Raz po raz usiłowała przekonać samą siebie, że osoba pana Mitchuma interesuje ją jedynie z medycznego punktu widzenia. Traktowała go jako kolejny ciekawy przypadek i nic ponadto.

Mitchum miał sporo szczęścia, że udało mu się przeżyć porażenie piorunem. W dodatku ona znalazła się wtedy w tym samym miejscu i mogła udzielić mu natychmiastowej pomocy.

I tylko czasami nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że jej obecność tam nie była jedynie dziełem przypadku.

Zakończywszy porządki, Mallory pokręciła się chwilę po domu bez żadnego celu, po czym, sama nie bardzo potrafiąc odpowiedzieć sobie na pytanie - po co? - postanowiła odwiedzić Joego w szpitalu.

Joe opuścił już oddział intensywnej terapii i został przewieziony na ogólną salę. Zanim Mallory do niego weszła, wstąpiła jeszcze do pokoju pielęgniarek, by zapytać o stan pacjenta.

Z tego, co wyczytała w historii choroby, wynikało, że Joe czuł się coraz lepiej. Z godziny na godzinę nabierał sił, a testy nie wykazały zmian neurologicznych czy żadnych innych. Oparzenia na stopach dobrze się goiły.

Wyglądało więc na to, że matka natura i tym razem poniosła sromotną klęskę.

Jeden zero dla medycyny! - pomyślała Mallory z zawodową satysfakcją.

Kiedy wychodziła z pokoju pielęgniarek, natknęła się na siostrę przełożoną.

- Wygląda na to, że Mitchum ma się coraz lepiej? - zapytała.

- Rzeczywiście. - Kobieta potwierdziła skinieniem głowy. - Prawdę mówiąc, nie ma najmniejszych przeciwwskazań, by go wypisać.

- Doprawdy? Domyślam się, że to spora ulga dla personelu. Wyobrażam sobie, jak musiał być przykry...

Przełożona pielęgniarek, Evelyn Dodd, spojrzała na Mallory ze szczerym zdziwieniem.

- Joe? Joe Mitchum? - powtórzyła, jakby upewniając się, że obie mówią o tym samym mężczyźnie. - Ależ to najbardziej czarujący pacjent, z jakim kiedykolwiek miałam do czynienia. Prawdziwy z niego dżentelmen! Szkoda mi będzie wypuszczać go ze swoich rąk.

Tym razem wyraz najszczerzego zdumienia odmalował się na twarzy Mallory.

Czarujący? Dżentelmen? Z pewnością nie były to określenia, które pasowałyby do osoby Joego.

- Czyżby? - zdołała wykrztusić.

- I proszę sobie wyobrazić, że jak do tej pory nie miał żadnych odwiedzin - ciągnęła dalej pielęgniarka.

- Pytałam nawet, czy jest ktoś, kogo chciałby zawiadomić o wypadku, ale twierdził, że nie. Dziwne. Taki miły człowiek...

Rzeczywiście dziwne, potwierdziła Mallory w duchu.

- Jedyne, co może budzić jeszcze jakiegokolwiek obawy, to jego kłopoty z wysławianiem się i z pamięcią - ponownie usłyszała głos pielęgniarki. - Pan Mitchum sprawia wrażenie, jakby z trudnością dobierał słowa, a terażniejszość płącze mu się z przeszłością. Mam jednak nadzieję, że to efekt wstrząsu elektrycznego, jakiego doznał i wkrótce wszystko minie.

- Rzucę na niego okiem.

Mallory podziękowała przełożonej skinieniem głowy i ruszyła na górę, do sali, do której, jak wynikało z karty choroby, przeniesiono wczoraj Mitchuma.

Niepewnie nacisnęła kłamek.

Słyszając odgłos otwieranych drzwi, Joe odwrócił się. Zupełnie jakby spodziewał się, że zobaczy właśnie ją. Uśmiechnął się na jej widok promiennie.

- Mol... to znaczy Mallory! Przepraszam - poprawił się. - Doktor Peterson.

Skinęła mu głową.

Było coś zagadkowego w jego nieporadności, w spojrzeniu... Nawet w tym, że jego twarz była gładko wygolona, włosy czyste i starannie uczesane. Nie pamiętała, kiedy widziała go takim po raz ostatni.

- Możesz zwracać się do mnie po imieniu. - Uśmiechnęła się. - Myślę, że po tym, co ostatnio razem przeszliśmy...

- Dziękuję, Mallory. - Nawet uśmiech na jego twarzy sprawiał wrażenie zagadkowego. Mężczyzna jakby z zażenowaniem wskazał dłonią rzeczy, które miał na sobie. - Siostra Evelyn przyniosła mi to. Z tego, co wiem, należały do jakiegoś zmarłego mężczyzny, ale ponieważ sam ledwie uszedłem z życiem, może nie przyniosła mi pecha?

- Nie powinieneś w ogóle o tym myśleć.

- Rzeczywiście, miałem sporo szczęścia.

Dziwne, ale nawet ze sposobu, w jaki rozmawiał, w niczym nie przypominał dawnego Joego. Również tembr jego głosu brzmiał niżej i głębiej, niż to zapamiętała.

Może to czasowy efekt szoku, jakiego doznał? - przebiegło jej przez głowę. Czym wytłumaczyć jednak dziwną głębię i nieznany jej dotąd błysk w jego spojrzeniu?

Chociaż twarz Joego, jego prosty nos, wąskie usta i pociągłe policzki były wciąż tymi samymi, które tak dobrze знаła, to jednak Mallory odnosiła wrażenie, że nawet jego rysy uległy jakiemuś magicznemu przeobrażeniu. Były łagodniejsze, bardziej stonowane, nie tak wyraziste. Zupełnie jak kamień wygładzony przez wodę, pozbawiony swych ostrych krawędzi nabiera nagle miękkości i łagodności, tak wyraz jego twarzy zaczął wydawać się jej inny - lepszy, łagodniejszy, miłszy. Nie umiała tego wytłumaczyć

Jak to się stało, że dotąd nie zauważyła, jak bardzo był przystojny? Może tak naprawdę nigdy uważnie na niego nie spojrzała? Nigdy do końca nie wysłuchała? Nie dała mu najmniejszej szansy?

- Siostra Evelyn powiedziała mi, że możesz już wracać do domu.

Na potwierdzenie skinął głową.

- Co zamierzasz? Dzwoniłeś już po kogoś, żeby przyjechał cię odebrać? - Cały swój wysiłek Mallory starała się włożyć w to, by ominąć wzrokiem złociste refleksy, jakie pozostawiało na jego włosach prześwitujące przez okno słońce.

- Nie - usłyszała jego głos. - Nie zawiadamiałem nikogo. Czuję się na tyle dobrze, że mogę wrócić do domu o własnych siłach.

- Masz na myśli - na piechotę? - Mallory spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Nie wydaje mi się, żeby to był najlepszy pomysł. Chociażby ze względu na twoje stopy!

- Doktor McKinley sugerował co prawda, że jeszcze przez jakiś czas powinienem się oszczędzać, jednak moim zdaniem dałbym radę.

- Slapdown jest trzydzieści kilometrów stąd - przypomniała mu. - Naprawdę zamierzasz tam dojść?

Joe zasepił się.

- Trzydzieści kilometrów... W takim razie może to rzeczywiście nie najlepszy pomysł...

- Podwiozę cię.

Na jego twarzy rozkwitł promienny uśmiech. Ciemnobrązowe oczy zajaśniały.

- Naprawdę? Zrobiłabyś to? - upewnił się. - Będę ci bardzo zobowiązany.

- W końcu od tego są sąsiedzi, czyż nie?

- Sąsiedzi? - powtórzył. - Więc jesteśmy sąsiadami? Kłopoty z pamięcią? Czy to nie o tym właśnie wspominała siostra Evelyn?

- Mieszkasz jakieś dwadzieścia metrów od mojego domu. Nasze płoty graniczą ze sobą.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- To najlepsze, czego mogłem się dowiedzieć - usłyszała jego szczęśliwy głos. - A to dopiero nowina!

Nowina? Czyżby zmiany w jego świadomości były aż tak duże?

- Joe... - zaczęła. - Czy na pewno czujesz się na tyle dobrze, by móc już opuścić szpital? Może powinieneś z tym poczekać choćby kilka dni?

- Szczerze? Już dawno nie czułem się aż tak pełen życia - zaśmiał się. - Bardzo dawno.

Kilka godzin później Joe został wypisany ze szpitala i oboje z Mallory mogli wyruszyć do Slapdown.

Unikanie jednoznacznych odpowiedzi na wszelkie pytania Mallory było jedynym zajęciem, jakie zaprzętało głowę Joego w czasie podróży. Mógł mieć tylko nadzieję, że swymi wykrętnymi wyjaśnieniami nie wzbudził w niej zbyt dużej podejrzliwości.

Ostatecznie, pocieszał się, wszystko będzie można zwać na karb niedawnego wypadku. Pytanie tylko, jak długo?

Wreszcie przyjechali na miejsce. Joe rozejrzał się uważnie.

To, co wskazała ręką Mallory, pod każdym niemal względem odbiegało od jakichkolwiek jego wyobrażeń na temat domu.

Stojąca na środku działki blaszana przyczepa zdecydowanie bardziej przypominała budę dla psa niż miejsce, w którym można by zamieszkać. Tym bardziej że na dźwięk silnika samochodu jakby spod ziemi pojawiło się nagle stado psów. Na widok Joego rozszczękały się radośnie.

- Więc to właśnie tutaj mieszkam? - upewnił się.

- Witaj w domu. - Mallory uśmiechnęła się znacząco. - Podczas twojej nieobecności zajęłam się hordą tych bestii.

- Bestii?

- Mam na myśli psy.

- Ach tak, dziękuję. - Joe jeszcze raz rozejrzał się po okolicy, a na jego twarzy odmalował się wyraz obrzydzenia.

Co za człowiek mógł mieszkać w tej nędznej norze? - przeleciało mu przez głowę.

- Czy wszystkie psy należą do mnie?

- Owszem - potwierdziła. - Pięć, według ostatnich rachunków.

- Dzięki za podwiezienie. - Spojrzał na nią. - Jeśli byś mnie szukała, będę w...
domu.

- Pomóc ci wysiąść?

- Dam sobie radę. - Joe sięgnął po kule, które podała mu Mallory. - Jeszcze raz dziękuję.

Syknąwszy z bólu, ostrożnie, krok za krokiem, ruszył w stronę przyczepy.

Co będzie, jeśli w środku „dom” okaże się równie odpychający jak na zewnątrz?
- przebiegło mu przez głowę. Cóż, najwyraźniej życie Joego Mitchuma było o wiele bardziej zagadkowe, niż mogłoby się wydawać.

I niż przygotował go na to Celestian.

Mallory wysunęła głowę przez otwarte okno samochodu. Przez chwilę przyglądała się w milczeniu, jak Joe walczy z zamkiem przy furtce.

Po chwili, gdy udało mu się w końcu z nim uporać, dwa największe psy zaczęły niespodziewanie ujadać. Reszta, jakby przestraszona, rozbiegła się po terenie, kuląc pod siebie ogony.

- Więc tak właśnie wygląda wierność najlepszego przyjaciela człowieka? - zaśmiała się Mallory. - Wystarczyło zostawić je na parę dni i już zdążyły zapomnieć, kto jest ich panem!

Nie namyślając się dłużej, wysiadła z auta i pomogła Mitchumowi pokonać resztę drogi do domu.

Gdy otworzył drzwi przyczepy, ze środka buchnął ciężki, odurzający fetor.

- A fuj! Śmierdzi gorzej niż w piekle w dniu generalnych porządków! - zażartował.

Mallory uchyliła szerzej drzwi i weszła do środka.

- Niedojedzony hamburger i kilka innych śmieci - odpowiedziała, zaglądając do lodówki. - Przez cały weekend nie było prądu.

Zatkała nos palcami i chyba nigdy przedtem nie miała tak zdegustowanej miny jak w tym momencie.

- Nie możesz tu zostać - zawyrokowała, obrzucając wewnątrz przyczepy szybkim spojrzeniem. - W tym miejscu aż roi się od zarazków! To tylko kwestia czasu, kiedy w twoje rany na stopach wdałoby się jakieś zakażenie.

- Rzeczywiście, musiałbym trochę posprzątać...

- Ty? - zaśmiała się kpiąco. - Masz chyba na myśli cały zastęp sprzątaczek! Zdaje się, że niektóre z tych rzeczy nie były ruszane od lat! Poza tym, z tego, co wiem, w przyczepie nie ma nawet bieżącej wody.

Jako teksański szeryf, Will-Joe nie był przyzwyczajony do zbytnich luksusów. Zresztą, w jego czasach bieżąca woda stanowiła prawdziwą rzadkość. A co do zapachu, to nieraz dane mu było wachać jeszcze gorsze.

- Wychodzimy - bez zbędnych dyskusji zarządziła Mallory. Mówiąc to, sięgnęła po kilka papierowych worków leżących na podłodze i wpakowała w nie parę ubrań Joego, które wały się po pomieszczeniu. - Nikt nie powinien mieszkać w takich warunkach.

- Jak to idziemy? - próbował zaprotestować Joe. - To miejsce wymaga co prawda kilku dni pracy, jednak...

Mallory wrzuciła worki z jego rzeczami na tylne siedzenie samochodu.

- Tak się składa, że mam wolny pokój - rzuciła przez ramię. - Możesz go zająć, przynajmniej do czasu, kiedy twoje stopy całkiem nie wydobrzeją.

- Sam nie wiem... - Mitchum wydawał się odrobinę zbity z tropu jej nieoczekiwaną propozycją. - Co powiedzą na to ludzie, kiedy dowiedzą się, że przyjmujesz pod swym dachem obcego mężczyznę?

- Co takiego?! - Mallory nie potrafiła powstrzymać się od śmiechu.

- Nie wybaczyłbym sobie, gdyby twoja reputacja miała w jakikolwiek sposób ucierpieć z mojego powodu.

- Żartujesz, prawda? - Mallory spojrzała na niego z niedowierzaniem, włączając silnik samochodu.

- Wiem, jak ludzie potrafią gadać.

- Nic mnie to nie obchodzi - rzuciła, ruszając z miejsca. - I nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Wszystko, co ci proponuję, to pokój na kilka dni. Mam nadzieję, że się rozumiemy.

- Cóż, jeśli jesteś tego pewna...

- Pozwól, że zadam ci jedno pytanie: od kiedy to przejmujesz się tym, co powiedzą ludzie?

Jej miodowo-bursztynowe oczy błysnęły dziwnym blaskiem, a usta zacisnęły się w wąską, świadczącą o nieustępliwości linię.

- Dobra reputacja to jedna z tych rzeczy, na które człowiek musi sobie zasłużyć.

- Czyżby?

- Wolałbym raczej stracić prawe ramię, niż zszargać swój honor - dokończył z powagą.

Jej ciche, jakby lekko pogardliwe prychnięcie, zabolalo go o wiele bardziej, niż mógłby się spodziewać. Najwyraźniej Joe Mitchum zwykł żyć w sposób zupełnie różny od tego, któremu on sam próbował być wierny. Cóż, stanowiło to być może spore utrudnienie, jednak nie przesądzało chyba o powodzeniu całej misji? Przynajmniej mógł mieć taką nadzieję.

Gdy Mallory parkowała samochód na swoim podjeździe, rzucił okiem w jej kierunku. Nie mógł co prawda widzieć jej twarzy, jednak nawet w najmniejszym grymasie ust czy w nieznacznym zmrużeniu powiek rozpoznawał swą dawną Molly. Kobieta inteligentną, silną i niezależną, czasami jednak bardzo zagubioną w świecie i w rządzących nim prawach.

Niezależnie od tego, jak bardzo wydawało mu się to niezręczne, nie mógł zmarnować swojej szansy. Zamieszka z doktor Mallory. Przecież gdzieś w głębi duszy czuł, że jest to najwłaściwsza, najbardziej naturalna z rzeczy, jaka mogłaby się między nimi wydarzyć. Pozostało mu tylko mieć nadzieję, że przyjdzie dzień, gdy i ona poczuje to samo.

Mallory zaparkowała samochód, a Joe wysunął głowę przez okno i ciekawie rozejrzał się po okolicy.

Nieduży, biało otynkowany domek wprost zapraszał, by do niego zajrzeć, by choć na chwilę przysiąść na ławeczce pod oknem. Otoczony starannie utrzymanym, soczysto zielonym trawnikiem i kwiecistymi rabatkami obiecywał spokój i łagodność, tę samą, jaka cechowała jego właścicielkę.

W takim domu jak ten wiele mogło się wydarzyć. I wiele odmienić.

Dzięki ci, Joe Mitchumie, gdziekolwiek teraz jesteś! - przebiegło przez głowę Willa dokładnie w chwili, gdy przestępował próg domu.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mallory pokazała Joemu jego nową sypialnię. Była nieduża, ale podobnie jak reszta domu schludna i uporządkowana.

Mitchum sprawiał wrażenie zadowolonego. Ciekawym wzrokiem rozejrzał się po pokoju, przysiadł na łóżku, wypróbował sprężystość materaca, wyrzwał nawet przez okno.

Mallory wycofała się dyskretnie, zostawiając go samego. Zajęta własnymi myślami i przygotowaniem kolacji nie zauważyła nawet, jak po chwili i on pojawił się w kuchni. Zaskoczona pochwyciła na sobie jego uważne spojrzenie.

- Nigdy więcej tego nie rób! - wykrzyknęła z pretensją. - Nie zachowuj się tak... bezszelestnie! Chcesz przyprawić mnie o zawał serca?

Po latach samotnego życia potrzebowała czasu, by przywyknąć do obecności drugiej osoby. Szczególnie, jeśli tą drugą osobą miał być Joe Mitchum. Cóż, istniały rzeczy, do których być może nigdy nie będzie potrafiła się przyzwyczaić...

- Wybacz, nie miałem zamiaru cię przestraszyć - odpowiedział i zataczając szeroki łuk ręką, dodał: - Przyjemne miejsce.

- Dzięki, ale nie należy do mnie - odpowiedziała, wrzucając spaghetti do gotującej się wody. - Mogę mieszkać tu tylko tak długo, jak długo będę pracować w klinice, pamiętasz? Albo do momentu, kiedy uda mi się znaleźć coś własnego.

- Rzeczywiście, teraz sobie przypominam - potwierdził.

Nie była to jedyna rzecz, o jakiej Joe zdawał się kompletnie nie pamiętać. Odkąd opuścili szpital, Mallory niejednokrotnie odnosiła wrażenie, że jego kłopoty z pamięcią są dużo poważniejsze, niż początkowo sądziła. Tak jak wtedy, gdy w drodze do domu zatrzymała się przed sklepem, by kupić kilka rzeczy na kolację. Joe został w samochodzie. Kiedy Mallory wychodziła z zakupami, zauważyła jedną z jego dawnych przyjaciółek - Gloriettę Tadlock. Dziewczyna wdziękowała się bezwstydnie do Joego,

ale on sprawiał wrażenie kompletnie skonsternowanego, wręcz zirytowanego całą sytuacją. Zupełnie jakby widział ją po raz pierwszy w życiu.

Biedna kobieta musiała poczuć się wyjątkowo niezręcznie, bo do tej pory Joe Mitchum nigdy nie ukrywał swego uznania dla jej, wątpliwych zresztą, wdzięków.

Może to tylko efekt ostatnich wydarzeń, a może... Mallory jako lekarz nie potrafiła jeszcze postawić jakiegokolwiek diagnozy.

- Więc myślisz o czymś na własny rachunek? - Jej rozważania przerwał głos Joego. - Jakiś dom, z dala od miasta?

- Gdyby to było aż tak proste - westchnęła. Odkąd tylko sięgała pamięcią, jej największym marzeniem było posiadanie własnego miejsca na ziemi. Dużego, wygodnego domu z werandą i ogrodem, gdzie także jej ojciec i matka mogliby zamieszkać do końca swych dni. To jedyne, co mogła zrobić, by odwdziaczyć się im za lata troski i wyrzeczeń, a nade wszystko za ogromną nadzieję, jaką nieustannie w niej pokładali.

Al i Lois Petersonowie byli małżeństwem od niemal czterdziestu lat. Żyli zgodnie i szczęśliwie, cementując swą miłość przyjaźnią, z biegiem lat coraz głębszą i coraz wierniejszą.

Dla swojej córki stanowili przykład pary wręcz idealnej, do tego stopnia, że z czasem przestała wierzyć, by i ją mogło spotkać kiedyś podobne uczucie. Co ciekawe, jej wątpliwości nie były poparte żadną rozsądną przesłanką. Po prostu miała je, tkwiły w niej, zakorzenione gdzieś głęboko w sercu.

- Mam nadzieję, że odpowiada ci twój nowy pokój? - zagadnęła, by jak najszybciej pozbyć się niewygodnych myśli.

Stawiając salaterkę z sałatą na stole, uświadomiła sobie, że Mitchum śledzi uważnie każdy, nawet najmniejszy jej gest. Poczowała się nieswojo.

- O tak, pod każdym względem - odpowiedział. - Prawdę mówiąc, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek zdarzyło mi się mieszkać w ładniejszym miejscu.

Uśmiechnęła się. To, co mówił, było miłe, nawet jeśli wychodziło z ust kogoś, kto ostatnie kilka miesięcy spędził w przyczepie kempingowej.

- Usiądź, proszę. - Wskazała ręką krzesło. - Kolacja jest już prawie gotowa. Zmieszany Joe przestąpił z nogi na nogę, nie ruszając się z miejsca.

- Nie mógłbym siedzieć, kiedy ty jesteś na nogach - odchrząknął niezręcznie.

- Nie bądź niemądry! - roześmiała się. - I oszczędzaj swoje stopy. To zalecenie lekarza. Jeśli chcesz, mam w apteczce jakieś środki przeciwbólowe.

- Nie, nie, bywało gorzej - odpowiedział zdawkowo, ucinając dyskusję.

- W porządku - skinęła głową, wracając do nakrywania stołu. - Może miałbyś ochotę zawiadomić Brandę, gdzie teraz przebywasz? Jeśli tak, nie krępuj się. Telefon stoi w salonie.

Zanim zdążył odwrócić wzrok, w jego spojrzeniu pojawiło się coś w rodzaju paniki.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

Co prawda Joe i Branda rozwiedli się dopiero rok temu, ale ludzie mówili, że ich małżeństwo rozpadło się znacznie wcześniej. Z tego, co słyszała Mallory od samej Brandy, była żona Joego próbowała ułożyć sobie życie po raz drugi. Zapisła się nawet na zajęcia do wieczorowej szkoły dla dorosłych.

Mallory zmniejszyła ogień pod rondelkiem. Sos do spaghetti był już prawie gotowy.

Postawiła naczynia na stole i ruchem ręki wskazała Joemu jego miejsce.

Zanim sięgnął w kierunku jedzenia, skłonił głowę, przymknął powieki i złożył ręce jak do modlitwy.

Na szczęście nie mógł widzieć w tej chwili wzroku Mallory.

Joe i modlitwa? To nie mieściło się jej w głowie. Cóż, jak widać, pan Mitchum potrafił zaskakiwać. Po cichym „amen”, Mitchum z ochotą sięgnął po salaterkę z sosem.

- Wygląda świetnie - przyznał. - Co to za potrawa?

- Spaghetti - odparła, zastanawiając się równocześnie, czy Joe aby na pewno nie został wypisany ze szpitala za wcześnie. - Czy wszystko w porządku?

- Co masz na myśli?

- Nie obraż się, ale jesteś jakiś... inny.

Joe nie odpowiedział. Wydawał się kompletnie pochłonięty zawartością swego talerza.

Może to i lepiej, bo ona sama nie potrafiłaby chyba tak do końca wyjaśnić, co miała na myśli.

Może zresztą niepotrzebnie się czepiała? Przecież siedzący przed nią mężczyzna miał za sobą spotkanie z piorunem, cudem było już to, że w ogóle wyszedł z tego żywy.

Joe jeszcze nigdy w życiu nie czuł się aż tak zagubiony.

Co prawda Celestian starał się przygotować go na zmiany, jakie czekają go po powrocie do świata żywych, jednak nawet on nie był w stanie przewidzieć wszy-

stkiego. Duchowy opiekun zdecydowanie zbyt wiele czasu poświęcił na omawianie z nim tego, czego robić nie wolno i zbyt mało na to, jak należy się zachować.

Joe czuł, że powoli, z minuty na minutę, sytuacja zaczyna go przerastać. Najlepszym przykładem było spotkanie z półnągą blondynką, która niemal rzuciła się na niego, kiedy Mallory w drodze ze szpitala wstąpiła do sklepu. Czy to mogła być jedna z przyjaciółek dawnego Joego? A może, co gorsza, ktoś więcej?

I o co chodzi z tą tajemniczą Brandą? Czy rzeczywiście, jak powiedziała Mallory, Branda była kimś z jego rodziny? Jeśli tak, to kłopoty tak naprawdę dopiero się rozpoczynały.

Zresztą, relacje z ludźmi nie stanowiły jedyne go problemu, jaki zaprzętał teraz głowę Joego. Równie ważne, o ile nie ważniejsze, było odnalezienie się we współczesnym świecie. W świecie, który w niczym nie przypominał tego sprzed wieku.

Oczywiście, takie wynalazki jak telefony, samochody czy filmy istniały i za jego czasów. Jednak teraz ludzie nosili aparaty telefoniczne w kieszeniach spodni, jeździli samochodami z prędkością kilkudziesięciu kilometrów na godzinę, a gdy mieli ochotę obejrzeć film, siadali w wygodnym fotelu w swoim własnym domu i włączali coś, co nazywali telewizorem.

Wszystkie te zmiany, jakkolwiek pożyteczne by nie były, pogłębiały jedynie i tak już ogromną przepaść pomiędzy nim a Mallory.

W zamyśleniu dokończył swoją porcję spaghetti i pozwolił, by gospodyni sprzątnęła talerze.

- Miałbyś ochotę na pudding?
- Nie rób sobie kłopotu, dziękuję.
- Hm... - wymruczała, uśmiechając się. - Odnoszę wrażenie, że może to oznaczać
- tak.

Od zawsze uwielbiał słodczy. A Molly uwielbiała je dla niego szykować.

Tymczasem Mallory sięgnęła do lodówki i wyciągnęła stamtąd dwa niewielkie pojemniczki. Jeden z nich postawiła przed nim;

- Mam nadzieję, że lubisz czekoladowy?
- To mój ulubiony.

Joe przyglądał się przez chwilę pojemniczce, zastanawiając się w duchu, jak dostać się do jego zawartości.

Na szczęście Mallory była szybsza. Pewnym ruchem zdarta z pudełeczka plastikowe wieczko i zanurzyła łyżeczkę w puddingu. Joe zrobił to samo i już po chwili jego podniebienie rozkoszowało się smakowitą, sycącą słodkością.

Pamiętał, jak matka przygotowywała dla niego pudding czekoladowy. Jak czekał z niecierpliwością, by zanurzyć łyżeczkę w półpłynnej, słodkiej masie i mrużąc z rozkoszy oczy, poczuć ją wreszcie na języku. I chociaż Celestian ostrzegał go, że w miarę upływu czasu coraz mniej będzie pamiętał ze swego poprzedniego życia, a coraz bardziej zacznie utożsamiać się z przeżyciami Joego, z pewnością nigdy nie zapomni szczęścia, jakie widział w oczach matki, ilekroć w takich chwilach spoglądała na niego.

Gdy skończyli jeść deser, Mallory uprzątnęła stół.

- Jest jeszcze dosyć wcześnie - zauważyła, układając brudne naczynia w zmywarce. - Może miałbyś ochotę zapoznać się z informacjami, jakie udało mi się wyszukać w Internecie na temat porażenia piorunem?

Wprawdzie Joe nie do końca rozumiał, o czym Mallory do niego mówi, ale i tak wolał nie ryzykować kolejnych doświadczeń. Naprawdę, jak na jeden dzień miał ich już wystarczająco dużo.

- Jestem nieludzko skonany - odpowiedział, co było zgodne z prawdą. - Jeśli nie miałabyś nic przeciwko temu, chciałbym się po prostu położyć.

Niezależnie od tego, jak bardzo nie miał teraz ochoty na najkrótsze nawet rozstanie z Mallory, nie mógł ryzykować kolejnych wpadek. I tak z pewnością zauważyła, że nowy Joe różni się od dawnego. Nie wolno mu jednak dopuścić do tego, by zobaczyła, jak bardzo.

- Oczywiście. - Mallory skinęła głową, naciskając przycisk zmywarki. Maszyna ruszyła. - Daj znać, jeśli byś czegośkolwiek potrzebował.

Joe przez dłuższą chwilę przyglądał się z zainteresowaniem, jak włączona maszyna nabiera wody, by po chwili, niezbyt głośno, zacząć pracować.

Zadziwiająco, pomyślał, jak wiele ułatwień zdążyli wprowadzić ludzie w ciągu ostatnich stu lat - samochody, telefony, maszyny do mycia naczyń... I wiele, wiele innych, o których nawet nie miał pojęcia.

Pytanie tylko, czy ludzie równie dobrze jak z tymi wszystkimi wynalazkami radzili sobie z zaoszczędzonym przez nie czasem?

Zmęczony jak chyba jeszcze nigdy w życiu Joe nie mógł zasnąć. Leżąc w szerokim, wygodnym łóżku w pokoju, którego użyczyła mu Mallory, rozmyślał o wszystkim, czego w ciągu ostatnich paru godzin doświadczył. I o tym, czego dopiero miał doświadczyć. Nie był pewien, czy przyszłość napawa go większym strachem, czy optymizmem.

Są rzeczy, myślał, o których nigdy nie chciałbym zapomnieć i takie, o których nigdy już nie chciałbym pamiętać. Jak choćby porażenie piorunem i śmierć na trzy dni

przed ślubem z ukochaną kobietą. I bezsilne przyglądanie się, jak w samotności i smutku upływa reszta jej życia.

W końcu jednak Joe porzucił ponure rozmyślania i skoncentrował się na opracowaniu planu postępowania na najbliższą przyszłość, tak by, o ile to w ogóle możliwe, uniknąć kolejnych wpadek. Jeśli jednak okazałyby się to niewykonalne, będzie musiał wynieść się z powrotem do swojej przyczepy, nawet gdyby śmierdziało w niej tak, jakby zamieszkało ją stado skunksów. To o wiele wygodniejsze niż ryzykowanie kolejnych podejrzeń i pytań ze strony Mallory.

Nieoczekiwanie przed oczami stanęła mu Molly. Silna i niezależna, z godnością przyjmująca wszystko, co przynosiło życie. Jak wtedy, gdy w dniu jego pogrzebu przyjmowała kondolencje od wspólnych przyjaciół i od zupełnie nieznanym ludzi. Ubrana w czarną, długą suknię, skupiona i nad wyraz poważna, wydawała się całkowicie pogodzona z wyrokiem losu. Jednak wieczorem, gdy została sama, a jedynym świadkiem jej łez była tulona do piersi poduszka, wypłakiwała swój żal, swoją gorycz i niewysłowiony ból, modląc się do Boga o dar zrozumienia lub przynajmniej akceptacji. Akceptacja zajęła jej całe życie. Zrozumienie niestety nie przyszło nigdy.

Molly nie wyszła za mąż, do końca swych dni pozostała wierna jedynej miłości swojego życia. Żyła sama, z dala od wszystkich i wszystkiego, co w jakikolwiek sposób zakłócałoby pamięć o zmarłym narzeczonemu.

Nigdy też nie zdjęła czerni - symbolu żałoby i nigdy nie ściągnęła pierścionka, jaki włożył na jej palec Will Pendleton w dniu ich zaręczyn.

Niczym nie zasłużyła sobie na cierpienie, które stało się jej udziałem, a on, Will-Joe, właśnie dlatego wrócił na ziemię, by jej to udowodnić. I chociaż dawna Molly odeszła tak, jak odszedł Will, Joe i Mallory nadal mieli przed sobą przyszłość.

Zważywszy jednak na stosunek pani doktor do Joego, najważniejsze i najtrudniejsze zarazem będzie zdobycie jej szacunku. Musi więc uczynić wszystko, co w jego mocy, by to się udało. Inaczej nigdy, przenigdy nie zdobędzie jej miłości.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Hałas na zewnątrz stawał się coraz bardziej natarczywy.

Mallory odłożyła kartę ostatniego z pacjentów i zaciekawiona wyjrzała przez okno.

Niestety, z okna gabinetu niewiele udało się jej ustalić. Zdołała się tylko zorientować, że jazgotliwe szczekanie psów dobiegało od strony działki Joego. Nie wiedziała, co lub kogo obszczekiwały rozzłoszczone zwierzęta, sądząc jednak po zajadłości, z jaką ujadły, biedne bestie musiały być naprawdę rozsierdzone.

Mallory otworzyła drzwi gabinetu i zdziwiona pustką w poczekalni bezradnie rozejrzała się wokół. Dziwna sprawa.

- Czyżby dzisiaj miało wydarzyć się coś, o czym nie wiem? - rzuciła w stronę recepcjonistki. - Może koniec świata?

Odkąd rozpoczęła praktykę w klinice, poniedziałkowe popołudnia zawsze należały do najbardziej pracowitych. Tak jakby całe Slapdown czekało ze swymi chorobami do nadejścia weekendu, by później długą kolejką ustawić się przed jej gabinetem w poniedziałek z samego rana.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odpowiedziała Jenny.

- No to może chociaż lądowanie UFO? - nie ustępowała Mallory. - Cokolwiek...
Recepcjonistka, uśmiechając się, bezradnie rozłożyła ręce.

- W takim razie dokończ tylko to, co niezbędne i idź do domu. Coś takiego...

Wolne poniedziałkowe popołudnie - wymruczała Mallory. - Trzeba jakoś uczcić to niespodziewane, choć niezwykle miłe wydarzenie. To nie zdarza się częściej niż raz na sto lat!

- Właściwie już skończyłam. - Jenny wysunęła się zza lady recepcji.

- Doskonale. Chodźmy więc.

Obie kobiety ruszyły w kierunku wyjścia.

Po chwili, kiedy Mallory otworzyła drzwi lecznicy, do jej uszu ponownie dobiegł przeraźliwy psi jazgot. Odwróciła głowę w tamtym kierunku.

Przed bramą Joego stała wielka czerwona ciężarówka, a na niej, ku przerażeniu Mallory, jego przyczepa. Całość najwyraźniej gotowa była właśnie do odjazdu.

- Wygląda jak monstrualna puszka po sardynkach - zaśmiała się Jenny, wykonując jednocześnie triumfalny gest ręką. - To rzeczywiście nasz szczęśliwy dzień!

- Kto mógł zrobić coś takiego? - wyszeptała Mallory, jakby nie słysząc uwagi recepcjonistki. Nikt nie miał prawa przecież przyjść i tak po prostu wywieźć domu Joego, czyż nie?

Gdzie on się podzieje, kiedy dojdzie do siebie? Przecież nie może mieszkać u niej w nieskończoność. Umawiali się na kilka, no, najwyżej na kilkanaście dni!

- Jak przypuszczam, to dzięki pani interwencji zabrano się za ten obraz nędzy i rozpacz, pani doktor. Mam rację? - Jenny spojrzała na nią zdziwiona. - Miło wiedzieć, że głos zwykłego obywatela jeszcze coś znaczy dla władz naszego miasta.

- Sprawdź, o co tu chodzi - wymruczała Mallory i nie patrząc już nawet na recepcjonistkę, ruszyła w stronę ciężarówki.

Jedyną żywą istotą, nie licząc hordy psów, kręcącą się w pobliżu, był wysoki, barczysty mężczyzna, ładujący na przyczepę swej ciężarówki resztę rzeczy Joego.

- Hej, człowieku! - niewiele myśląc, krzyknęła w jego kierunku Mallory. - Co robisz?!

- Wykonuję swoją pracę - odparł mężczyzna z niczym niezmaconym spokojem i wskazując ruchem głowy na przyczepę, dodał: - Czyli przewożę obiekt stanowiący zagrożenie dla życia i zdrowia mieszkańców Slapdown na wysypisko śmieci. Oto, co robię.

- Na czyje polecenie?

- Władz miasta. Podobno sąsiedzi składali skargi.

- To byłem ja - Mallory poświadczyła głucho. - Jednak nigdy nie miałam na myśli aż tak radykalnego rozwiązania. Wszystko, co chciałam osiągnąć, to zmusić właściciela, żeby uprzątnął trochę tych śmieci!

- Więc w czym problem? - Mężczyzna wyraźnie ucieszył się, że nieoczekiwanie oboje doszli do porozumienia. - Zabiorę ze sobą najpokaźniejszy z tych śmieci i wywożę tam, gdzie jego miejsce.

- Ale gdzie będzie teraz mieszkał właściciel przyczepy?

- Nie wiem - odpowiedział niefrasobliwie mężczyzna. Jak należało się spodziewać, niewiele go to obchodziło.

Ujadanie psów stawało się coraz bardziej nieznośne.

Mallory rozejrzała się bezradnie. Zdaje się, że za wszystko, co teraz tu się działo, odpowiedzialna była osobiście. Jej wzrok spoczął na dziko warczących zwierzętach.

- Cisza! - wrzasnęła, obracając się w ich stronę.

O dziwo, ujadanie ustało, a pięć par psich oczu wpatrywało się w nią jak w hipnozie.

Zupełnie, jakby chciały powiedzieć: „Wystarczyło tylko poprosić, pani doktor”.

- Jak panu na imię?

- Early - przedstawił się mężczyzna.

- Proszę posłuchać, Early - zaczęła Mallory. - Jestem lekarzem w tutejszej klinice. Właściciel przyczepy został przed kilkoma dniami porażony piorunem i cud, że udało mu się ujść z tego z życiem. Dochodzi do siebie po porażeniu drugiego stopnia i, co niewykluczone, po urazie mózgu. W tej sytuacji jest oczywiste, że nie może nagle zostać bez dachu nad głową. To byłoby po prostu nieludzkie... Chyba nie chce pan mieć go na sumieniu?

- Kiedy wybieram się do pracy, sumienie zostawiam w domu - odparł beznamiętnie Early. - Klóciłoby się z moimi obowiązkami.

- Rozumiem. - Mallory zrezygnowana pokiwała głową. - Czy jest jednak coś, co mogłabym zrobić?

- Może pani odwieźć tego faceta do schroniska dla bezdomnych - podsunął usłużnie kierowca ciężarówki.

Jasne, przytaknęła w duchu.

Czy cały świat sprzysiągł się właśnie przeciwko niej? Czy nikt, prócz niej samej, nie rozumiał, że Joe nie może u niej pozostać ani minuty dłużej, ponieważ w niczym nie przypominał już dawnego Joego?

Istniało co najmniej tysiąc powodów, dla których nie powinni dłużej mieszkać razem. A najważniejszym z nich był ten, że z odpychającego, pewnego siebie i bezczelnego obiboka Joe przemienił się nagle w miłego, kulturalnego i interesującego mężczyznę.

A ona? Ona czuła się w jego towarzystwie nieswojo i bardzo, bardzo niepewnie.

- Porażony piorunem, powiada pani? - W spojrzeniu Early'ego odbiło się coś na kształt zainteresowania. - Słyszałem, jak mówili o tym w mieście.

- Jestem pewna, że rozumie pan całą złożoność jego sytuacji - z nową nadzieją rozpoczęła Mallory. - Proszę tylko zostawić przyczepę, a sama załatwię resztę formalności z władzami miasta. Co pan na to, Early?

Mężczyzna poprawił czapkę z daszkiem, przesuwając ją na tył głowy i drapiąc się po czole. Mallory nie spuszczała z niego wzroku.

- Nie mogę - odparł w końcu. - Dostałem polecenie i muszę je wykonać.

Po czym, nie czekając na reakcję Mallory, włączył silnik swojej ciężarówki i odjechał, zabierając ze sobą cały dobytek Joego.

- Cisza! - wrzasnęła Mallory wściekle, kiedy tylko pierwszy z psów otworzył pysk, by ponownie zacząć ujadać. - Cicho bądźcie, do jasnej cholery! Od dawna podejrzewałam, że musicie dzielić jeden wspólny mózg.

Pytanie tylko, który z was używa go dzisiaj, co? Nie widzicie, że nie ma już na co czekać?

- O co chodzi?

Mallory odwróciła się gwałtownie na dźwięk głosu Joego. Jak to możliwe, że nie słyszała wcześniej tego, co tu się działo?

- Cóż... - Bezradnym gestem wskazała miejsce, gdzie jeszcze przed paroma chwilami stała przyczepa. - Z tego, co widać, właśnie zostałeś... bezdomnym.

Joe podążył wzrokiem za ramieniem Mallory, jakby dopiero teraz zauważył zmiany, które zaszły na jego własnej działce.

- Gdzie przyczepa? - zapytał zdziwiony.

- W drodze na złomowisko - odpowiedziała po prostu. - Jeśli wierzyć temu, co powiedział mój nowy przyjaciel, Early.

I choć było jej bardzo przykro, musiała szczerze przyznać, że bez „konserwy na sardynki” okolica wyglądała o wiele lepiej.

- A to co? - Podeszła do sporych rozmiarów kartki leżącej na ziemi i podniosła ją, by przeczytać. - Dlaczego nie mówiłeś, że dostałeś już kilka ostrzeżeń?

- Kilka ostrzeżeń? - powtórzył drętym głosem.

- Owszem. - Podsunęła mu kartkę pod nos. - Ostatnie ponad tydzień temu. Nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybyś uprzątnął chociaż część śmieci. Zignorowałeś polecenie władz miasta.

- Więc to z powodu tego, że nie posprzątałem w swoim domu? - Joe sprawiał wrażenie kompletnie zdezorientowanego.

- Nie - zaprzeczyła gwałtownie i zataczając szeroki gest ręką, dodała: - Z powodu tego! Może tobie nie przeszkadza życie w brudzie i smrodzie, ale innym tak! A dopóki masz sąsiadów, powinieneś się liczyć również z ich zdaniem. Zresztą, poddaję się!

Oszołomiona i kompletnie zbита z tropu, ruszyła w stronę domu.

- Zaczekaj, Mallory! - krzyknął z desperacją w głosie. - Daj mi chociaż jedną szansę. Pozwól mi to wszystko naprawić!

Jeszcze i to, pomyślała z narastającą wściekłością. Nie dość, iż osobiście przyczyniła się do tego, że Joe Mitchum nie miał dokąd się wynieść z jej mieszkania, to jeszcze bezczelny i wzbudzający odrazę typ, jakim był do tej pory, nagle ustąpił

miejsca sympatycznemu i bardzo porządnemu człowiekowi. Czy ktoś mógłby jej to wszystko jakoś wytłumaczyć?

- Wybacz mi, Mallory - powiedział Joe, zrównując się z nią i w przepraszającym geście opierając rękę na jej ramieniu, czym wzbudził w niej całą lawinę reakcji, rozpoczynających się na skórze rąk, a kończących się w najgłębszych zakamarkach serca.

Odsunęła się jak oparzona, jednym ruchem wyrywając ramię z jego uścisku. Nieoczekiwanie jakiś dziwny, ale przyjemny zapach wypełnił swą wonią jej nozdrza. Poczła lekki zawrót głowy.

Zapach róż? Tutaj?

- Co to takiego? Czujesz? - zapytała, rozglądając się bezradnie wokoło. Jednak w najbliższej okolicy nie rósł ani jeden różany krzew.

- Co?

- Róże... - odpowiedziała powoli. - Chyba dostaję pomieszania zmysłów. Jakie róże? Przecież tu nie ma żadnych róż! Ja już zwariowałam!

- Przykro mi, Mallory - powiedział Joe, próbując ponownie chwycić jej dłoń, ale cofnęła się. - Nigdy nie chciałem, żebyś tak właśnie się poczuła. Obiecuję, że naprawię to wszystko, jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę.

- Szansę? - powtórzyła za nim głucho. - O jakiej szansie mówisz? Już zbyt wielu ludzi próbowało dać ci szansę, ale zawsze, przynajmniej odkąd pamiętam, z dziwną łatwością zawodziłeś wszystkie oczekiwania i raniłeś uczucia innych.

- Wiem, zdarzały mi się pomyłki...

- Pomyłki? - Mallory zaśmiała się z goryczą. - Więc w twoim mniemaniu wszystko, czego się dopuściłeś, to tylko pomyłki? O pomyłce można mówić wtedy, gdy ktoś wyrzuci papier do kontenera na odpady plastikowe. Lub kiedy kupi kilogram marchewek zamiast pietruszki. To są pomyłki! A ty dopuszczałeś się rzeczy karygodnych! Byłeś bezdusznym egoistą!

- Nie wiem, co mógłbym powiedzieć na swoją obronę...

- Nie ma potrzeby, byś cokolwiek mówił, ponieważ jeszcze nie skończyłam - wzburzona weszła mu w słowo, choć dobrze wiedziała, że powinna skończyć, zanim jeszcze na dobre zaczęła. Jednak na to było już za późno. - Ileż to razy doprowadzałeś do rozpaczki własną matkę, która zmuszona była płacić twoje nieuregulowane rachunki? Biedna kobieta, przez ciebie straciła dom, ale nawet wtedy dała ci szansę. Czy naprawdę tego nie rozumiesz?

- Mallory...

- Tak, szansę, byś przynajmniej raz w miesiącu mógł ją odwiedzać w domu opieki, siedzieć przy jej łóżku i trzymać za rękę aż do ostatnich chwil!

- Mall...

- Już dawno ktoś powinien był ci to wszystko powiedzieć. - Wciąż nie dopuszczała go do słowa. - Dlatego nie powstrzymasz mnie dzisiaj.

- Wiem. Masz rację - przytaknął, spuszczać wzrok, a w jego głosie pobrzmiwał najprawdziwszy smutek.

Czy to możliwe? - zastanawiała się w duchu Mallory. Jednak zbyt dobrze go znała, by tak łatwo pozwolić się zwieść pozorom.

- Pytasz, czy dam ci szansę? - odezwała się ponownie, tym razem już nieco spokojniej. - Tak jak wszyscy, których zraniłeś? Jak Branda? Ileż to razy pomagała ci, kiedy tego potrzebowałeś? A ty nie potrafiłeś zrobić dla niej niczego. Nie potrafiłeś utrzymać przy sobie swojej własnej rodziny...

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nie miałem o tym pojęcia...

- A co z małą Chloe? To też była twoja szansa. Mogłeś stać się takim ojcem, na jakiego to dziecko zasługuje. Wszystko zmarnowałeś, zaprzepaściłeś - wyszeptła ze ściśniętym gardłem. - A teraz masz jeszcze czelność prosić o kolejną szansę?!

Will z uwagą, choć nie bez smutku, wsłuchiwał się we wszystko, o czym mówiła Mallory. Każde jej słowo stanowiło cenną informację. Dzięki temu mógł się dowiedzieć, jakiego typu człowiekiem był Joe Mitchum. I chociaż minęło zaledwie kilka dni od czasu, jak jego dusza powróciła na ziemię, Will zdołał już dość dobrze się zorientować, że dawny właściciel jego nowego ciała nie należał do grona osób lubianych i szanowanych. Przyszła pora, by dowiedzieć się, co było tego powodem.

W swym poprzednim wcieleniu niejednokrotnie zdarzało mu się narażać życie lub ryzykować zdrowie dla jakiejś słusznej sprawy, ale choć śmierć wiele razy zaglądała mu w oczy, jeszcze nigdy nie czuł się aż tak przerażony. To bowiem, z czym miał się zmierzyć w najbliższej przyszłości, w najmniejszym stopniu nie zależało od niego. A przeznaczenie nie podlegało ludzkiej kontroli. Ta myśl go paraliżowała.

Och nie, już nigdy więcej nie chciałby zobaczyć w oczach Mallory tego, co odbijało się w nich dzisiaj, gdy mówiła o Joem. Bólu? Smutku? Rozczarowania?

Nieoczekiwanie po policzku Mallory stoczyła się łza. Serce Willa ścisnęło się w bezgranicznym cierpieniu.

Chciał wziąć ją w ramiona, przytulić, pocieszyć. Swoją dawną Molly.

Ale nie było już Molly. Jej miejsce zajęła Mallory i to o nią będzie musiał teraz stoczyć walkę.

Czekała na to, co powie.

Lecz cóż miał jej powiedzieć? Że żałuje? Że nie chciał rozczarować ani jej, ani nikogo innego? Że żał mu Brandy? Chloe?

Joe Mitchum nie sprawdził się jako syn. Nie sprawdził się również jako mąż i przyjaciel. Najbardziej jednak zabołało Willa to, że nie sprawdził się jako ojciec. Naprawienie wszystkich wyrządzonych przez Joego krzywd będzie zadaniem zarówno trudnym, jak i bolesnym.

Mallory ruszyła w stronę domu. Zawołał za nią.

- Proszę, nie chcę, żebyś mnie znienawidziła. Wiem, mam wiele do zrobienia, ale nie poddam się. Stań po mojej stronie, to wszystko, o co proszę.

- Nie nienawidzę cię, Joe - zaprzeczyła smutno. - Czuję się po prostu bardzo rozczarowana. Masz w sobie ogromny potencjał, każdy to widzi. W szkole byłeś jednym z najzdolniejszych uczniów. Co się z tobą stało? Dlaczego tak bardzo się zmieniłeś?

Milczał.

- Czy masz jakieś pieniądze?

- Niewiele. - W portfelu, który znalazł w kieszeni spodni, było nie więcej niż kilkadziesiąt dolarów, parę numerów telefonów i karta kredytowa. - Postaram się o jakąś pracę.

- Nie możesz jeszcze pracować - ucięła krótko. - Chodzenie wciąż sprawia ci ból. Miną całe tygodnie, zanim znowu będziesz w stanie zająć się czymkolwiek. Do tego czasu...

- Nie będę miał ci za złe, jeśli wyrzucisz mnie ze swojego domu.

- Nie miałam takiego zamiaru. - Uśmiechnęła się blado. - Możesz zostać u mnie tak długo, jak długo będziesz potrzebował. W zamian za to oczekuję jednak, że opracujesz sobie jakiś plan działania. Coś, co wcześniej czy później pozwoli ci stanąć na nogi. I chciałabym wierzyć, że rzeczywiście zaczniesz wtedy nowe życie.

- Dziękuję ci, Mallory - wyszeptał przez zaciśnięte gardło. Miała rację, nikt nie mógł ofiarować mu drugiej szansy. Nikt, prócz niego samego.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci się odwdziżyć.

- Nie jesteś mi nic winien - zaprzeczyła. - Liczę jedynie na to, że tym razem rzeczywiście dotrzymasz obietnicy.

- Tak będzie. Zobaczysz. Tak właśnie będzie.

Chciała mu wierzyć. Naprawdę chciała.

Jednak doświadczenie mówiło jej, że nie byłaby ani pierwszą i prawdopodobnie nie ostatnią osobą, którą by zwiódł.

Joe Mitchum był utalentowanym kłamcą. Nawet jeśli nie czynił tego świadomie, niszczył tych, którzy pokładali w nim jakiegokolwiek nadzieje. Niszczył, bo nie potrafił spełnić żadnej ze składanych przez siebie obietnic.

Czy to możliwe, że doświadczenie bliskości śmierci aż tak go odmieniło? A jeśli nawet, na jak długo wystarczy mu zapалу, by zrobić wreszcie porządek ze swoim życiem?

- Muszę iść - odezwała się.

- Mallory...

- O co chodzi? - zapytała, nie patrząc na niego.

Nie chciała ryzykować kolejnego spojrzenia, obawiała się dotyku jego rąk.

Ogarniał ją niepokój na myśl, że znów poczułaby dobywający się znikąd zapach róż.

Wszystko, czego pragnęła, to wrócić do siebie, do normalności, do świata, który rozumiała, w którym na wszystko znała odpowiedź.

- Dziękuję - usłyszała.

Miała wrażenie, że w tym jednym, krótkim słowie Joe zawarł całą swą delikatność i łagodność, o jakie nigdy by go zresztą nie podejrzewała.

- Nie ma za co. Po prostu, tym razem zrób wszystko, by nie przegapić swojej szansy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Cały następny tydzień Mallory robiła wszystko, by unikać jakichkolwiek spotkań z Joem, co, zważywszy na to, że mieszkali pod jednym dachem, było wyjątkowo trudne.

Dołożyła nawet wszelkich starań, by dowiedzieć się, co ostatecznie stało się z jego przyczepą i czy istnieje jakikolwiek sposób, by ją odzyskać. Jednak wszystko, co ustaliła, pogłębiło jedynie jej przygnębienie. Przyczepa rzeczywiście została wywieziona na złomowisko i jeszcze tego samego dnia sprasowana do wielkości nie większej niż pudło telewizora. Dozorca złomowiska zapewnił ją, że o ile pan Mitchum sobie tego życzy, jego przyczepa, czy raczej to, co z niej zostało, jest do odebrania o każdej porze dnia i nocy.

Również obdzwonienie wszystkich znajomych i przyjaciół nie przyniosło żadnych rezultatów. Nikt nie mógł przyjąć do siebie Joego na dłużej niż na kilka dni, a to oczywiście nie rozwiązywało sytuacji.

Wbrew pozorom nie chodziło wcale o to, że wspólne mieszkanie z Joem stanowiło dla niej jakikolwiek problem. Okazał się prawdziwym dżentelmenem i to właśnie było najgorsze. Ponieważ Joe Mitchum, odkąd go znała, nigdy w niczym nie przypominał dżentelmena. I fakt, że teraz wszystko wyglądało inaczej, wprawiał ją w prawdziwe zakłopotanie.

Coraz częściej zdarzało się jej spędzać długie wieczory w klinice i to nie nagłe zaległości były tego powodem. Doktor Mallory Peterson była zawsze obowiązkowym i sumiennym lekarzem.

Tak się jednak składało, że o wiele pewniej i swobodniej czuła się teraz w pracy niż we własnym domu, szczególnie gdy oznaczało to konieczność ciągłych kontaktów z Joem.

Każdego wieczora nadchodziła jednak chwila, kiedy nie pozostawało jej nic innego, jak odłożyć wreszcie dokumenty i notatki na półkę, zdjąć biały lekarski fartuch i wyruszyć do domu.

Dochodziła ósma wieczór. Upał na dworze zelżał już nieco, a słońce chyliło się ku zachodowi. Mallory zamknęła za sobą drzwi gabinetu, minęła pusty o tej porze hol i wyszła na zewnątrz.

Zamknięcie drzwi kliniki zajęło jej dosłownie chwilę. Odwróciła się, jakby ważąc w myślach wszystkie argumenty za i przeciw. W końcu ruszyła przed siebie. W stronę, gdzie na niewielkim wzniesieniu stał jej dom.

Joe był na zewnątrz. Nawet z tej odległości mogła widzieć, jak unosi w górę worek z karmą dla psów i napełnia nią psie miski, jedna po drugiej. Olbrzymie bestie poszczekiwały wesoło, ucieszone jak małe szczeniaki, co chwila opierając swe wielkie, ciężkie łapska o plecy i nogi właściciela.

Joe sprawiał wrażenie zadowolonego. Raz po raz wykrzykiwał coś do swych podopiecznych, ale z tej odległości nie mogła zrozumieć słów.

Dźwięk jego głosu, unoszony przez lekki podmuch wiatru, docierał jednak do niej aż nadto dobrze - dziwnie znajomy i zatrważająco bliski. Powodował, że przez jej ciało przebiegał jakiś nagły dreszcz, a serce aż trzepotało od nadmiaru emocji.

To już tak dawno, pomyślała nieoczekiwanie i natychmiast, jakby usiłując pozbyć się czegoś niewygodnego i natrętnego, energicznie potrząsnęła głową.

Tak dawno? Dawno od czego? O co w tym wszystkim chodzi?

Skrzywiła się, zła na samą siebie. To, co działo się z nią ostatnio, to najwyraźniej wynik przepracowania i stresu ostatnich kilku dni. Po prostu musi bardziej na siebie uważać, a wtedy wszystko powinno wrócić do normy.

Podeszła bliżej domu. Joe, jak dotąd, jeszcze jej nie zauważył.

Na ławce, oparte o poręcz, leżały kule, których do tej pory używał ze względu na obolałe stopy. Dostał je w szpitalu, w dniu, w którym go wypisano.

Ciekawe, nie zauważyła nawet, kiedy przestał z nimi chodzić. Dzisiaj? Wczoraj? Trzy dni temu?

Tak bardzo była zajęta unikaniem kontaktu ze swym współlokatorem, że nawet ta kwestia uniknęła jej uwagi. Cóż, jeśli jednak alternatywą miały być dziwaczne, niewytłumaczalne logicznie zjawiska, jak zapach nieistniejących róż, czy jakieś zagadkowe wspomnienia zdarzeń, których nigdy nie przeżyła, a jakie pojawiały się zawsze, ilekroć on znajdował się w pobliżu...

Zdecydowanie bardziej wolała trzymać się od niego z daleka. Przynajmniej do czasu, aż nie znajdzie jakiejś wyczerpującej, logicznej odpowiedzi na wszystkie nurtujące ją pytania dotyczące osoby pana Mitchuma.

Joe, widząc ją, zamachał ręką. Jego twarz pojaśniała szczerym uśmiechem. Pomachała w jego stronę, łapiąc się na tym, że nigdy wcześniej tego nie robiła.

Mimo że przez całe życie otaczali ją ludzie, w gruncie rzeczy czuła się przeraźliwie samotna. Aż tu nagle pod koniec długiego dnia ktoś ucieszył się na jej

widok, i to wydało się jej dziwne. Tym dziwniejsze, że choć sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, najwyraźniej i ją ucieszył widok Joego.

Może w gruncie rzeczy nie był aż takim złym człowiekiem? Może to splot nieszczęśliwych wypadków i niefortunnych decyzji ugruntował mu opinię lenia i wyrachowanego egoisty?

Efekt domina, jak mawiał jej ojciec. Jedno niefortunne wydarzenie pociąga za sobą kolejne. I tak bez końca.

Joe pochodził przecież z szanowanej, chociaż ubogiej rodziny. Jako jedyne dziecko otrzymał staranne wykształcenie. Rodzice poświęcili mu całą uwagę i cały ogrom miłości, na jaki tylko było ich stać. Był ich radością i dumą. Przynajmniej do czasu wypadku ojca.

Wtedy, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, życie Joego odmieniło się z dnia na dzień. Nagle stało się pasmem niepowodzeń, klęsk i rozczarowań. Nauka przestała mu sprawiać jakąkolwiek przyjemność, pojawiły się trudności. Stracił zainteresowanie szkołą. Wydawało się, że z czasem stracił również zainteresowanie samym życiem.

Cóż, może wstrząs elektryczny, jakiego doznał w czasie wypadku, uczynił go na powrót takim, jakim mógłby być, gdyby kilkanaście lat temu nie obrał złej drogi, gdyby wszystko potoczyło się inaczej?

- Widzę, że poruszasz się już o własnych siłach? - zagadnęła, gdy znalazła się tuż obok niego, opędzając się jednocześnie od nieoczekiwane wylewnych psych powitań.

- Tak, nie potrzebuję już kul - potwierdził. - Czuję się coraz lepiej.

- Sprawdź później twoje opatrunki i o ile rany są już w wystarczającym stopniu zagojone, zdejmujemy je, dobrze?

- Z przyjemnością - uśmiechnął się.

Ruszyli w stronę domu. Gdy otworzył przed nią drzwi, uderzył ją smakowity zapach duszonych warzyw. Joe odkręcił kran, by umyć ręce.

- Co to takiego? - zagadnęła, wciągając powietrze.

- Pracujesz tak długo... - odpowiedział. - Pomyślałem, że powinnaś zjeść coś ciepłego na kolację. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko?

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła. - Powiedziałam ci przecież, żebyś czuł się jak u siebie.

Dziwne, nigdy wcześniej Joe nie przygotowywał dla niej niczego, nie kręcił się po jej kuchni. Tymczasem ją znów ogarnęło to całkowicie irracjonalne odczucie, jakby

kiedyś, w bardzo, bardzo odległej przeszłości przeżyła już podobną do tej chwilę. Otrząsnęła się. Może to na skutek głodu? Od śniadania minął już niemal cały dzień.

- Pięknie pachnie... Co to takiego? - zagadnęła.

- Stek z warzywami - odpowiedział. - Jak sądzisz? Więcej soli?

Spojrzała na niego. Jej wzrok ślizgał się przez chwilę po całym jego ciele, po czym zatrzymał się dłużej na pełnych, zmysłowych wargach. Ze zdumieniem uświadomiła sobie, że stek z warzywami jest ostatnią rzeczą, której chciałaby teraz spróbować.

Joe włożył łyżkę w jej rękę i uniósł pokrywkę garnka.

- Nie, smakuje znakomicie - wyjąkała, próbując odrobiny duszonych warzyw.

Po czym, za wszelką cenę chcąc uniknąć kolejnych spojrzeń w jego stronę, zrobiła krok do tyłu, przestraszona tym, co mogłoby się wydarzyć. Tym, że jeszcze chwila, a zarzuciwszy mu ramiona na szyję, zbliżyłaby swe usta do jego warg i ucałowała je z dziką, niepohamowaną namiętnością.

- Powinno być gotowe lada chwila - jak przez ścianę usłyszała jego głos.

- Ja też będę zaraz gotowa. Pójdę tylko na górę, żeby się przebrać - odpowiedziała z nadzieją, że szybki, zimny prysznic ostudzi jej rozgorączkowane emocje.

Czekając na Mallory, Joe przygotował talerze i ułożył sztucce. Rzeczywiście, tak jak mówiła, odświeżenie się nie zajęło jej więcej niż kilkanaście minut. Wróciła przebrana w bawełniany podkoszulek i krótkie spodenki. Obrzucił ją szybkim spojrzeniem.

Cóż, już sam widok kobiety w spodniach był czymś, do czego niełatwo było mu się przyzwyczaić. A co dopiero, kiedy te spodnie odkrywały prawie całe, długie i nieziemsko zgrabne kobiece nogi!

Niemal nadludzkim wysiłkiem woli oderwał od niej wzrok. Nie mógł przecież spłoszyć jej jakimś nieostrożnym ruchem. Nie teraz, kiedy po tygodniu unikania go, zgodziła się wreszcie zasiąść z nim przy jednym stole i tak samo jak dawno, dawno temu zjeść z nim wspólny posiłek.

Ciekawiło go bardzo, czy broniła się przed kontaktami z nim, bo czuła do niego tak wielką niechęć, czy też raczej dlatego, że jej niechęć nie była aż tak duża, jak by sobie tego życzyła.

- Nie musiałeś tego robić, wiesz o tym? - odezwała się, nalewając herbatę do wysokich szklanek wypełnionych lodem.

- Ale chciałem - odrzekł z prostotą. - To jak na razie to jedyny sposób, w jaki mogę ci się odwdzięczyć. Poza tym powinnaś od czasu do czasu pozwolić, by ktoś zatroszczył się o ciebie.

- Nigdy nie odczuwałam takiej potrzeby.

- Czyżby? Zresztą nieważne. - W jego głosie słychać było powątpiewanie.

Zmieniając temat, dodał: - Myślę, że jestem już gotów, by pojechać do miasta.

- Skoro tak... Nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś tego zrobić. - Mallory głośno przełknęła ślinę. - Gdzie twój džip? Nie widziałam go od jakiegoś czasu.

- Mój džip? - Joe nie tylko nie miał pojęcia, gdzie może być, ale również co to takiego!

Mallory uniosła prawą brew.

- Nie pamiętasz, gdzie go zostawiłeś? - zapytała zdziwiona. I po chwili, ku jego uldze, dodała: - Zresztą, zajmiemy się tym później. Na razie możesz korzystać z mojego wozu.

Więc džip to jakiś rodzaj auta. Cóż, Joe nie był pewien, czy poradzi sobie z maszyną, która osiąga prędkość większą niż czterdzieści kilometrów na godzinę. Jeśli wierzyć temu, co mówił Celestian, wraz z ciałem Joego Will otrzymał również jego umiejętności. Jednak póki co, wolał nie wystawiać ich na próbę...

- Nie czuję się jeszcze na siłach, by samodzielnie prowadzić - odezwał się. - Czy nie zechciałabyś mnie podrzucić? Na przykład jutro?

- Czemu nie? - odpowiedziała niezbyt pewnie. - Jutro jest sobota. Możemy pojechać z samego rana. Wybierasz się w jakiejś konkretnej sprawie?

- Chciałem się tylko rozejrzeć. Odwiedzić parę miejsc. Pogadać ze znajomymi.

Niezależnie od tego, jak bardzo było to niewygodne, nie mógł przecież spędzić reszty życia, ukrywając się w domu Mallory. Musiał wyjść, spotkać się z ludźmi, stawić czoło nieoczekiwanym sytuacjom.

- Rozumiem - mruknęła. Nieoczekiwanie uśmiech zniknął z jej twarzy, a w głosie pojawiło się rozdrażnienie: - Oczywiście, musisz w końcu odwiedzić swoich znajomych. Jestem pewna, że niektórzy z nich bardzo się za tobą stęsknili. Na przykład Glorietta. Może od razu podwiozę cię pod „Pete's Bar”? Zdaje się, że właśnie tam zawsze się z nią spotykałeś?

- Nie, nie miałem na myśli Glorietty.

- Czyżby? - ciągnęła uparcie, choć jednocześnie wciąż powtarzała sobie w myślach, że w gruncie rzeczy nic, co robi Joe, nie powinno być jej sprawą. - Zdaje się, że ty nigdy się nie ustatkujesz.

- Mylisz się - zaprzeczył, nie spuszczając z niej wzroku. - Od zawsze o tym marzyłem. Tylko nie było miejsca, które mógłbym nazwać naprawdę swoim.

Sto lat temu to marzenie prawie się spełniło, kiedy Will kupił na skraju miasteczka niewielki, biały domek z werandą, otoczony ogrodem pełnym owocowych drzew. Domek, w którym każdego wieczora miała czekać na niego ukochana kobieta.

- To było naprawdę wyśmienite. - Mallory przełknęła właśnie ostatni kęs steku. - Nie miałam pojęcia, że potrafisz gotować.

- Jak przypuszczam, jest jeszcze wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz - roześmiał się.

Przyjrzała mu się badawczo, jakby czekając, aż powie coś więcej.

- To bardzo możliwe - odezwała się po krótkiej chwili milczenia.

Wstała od stołu, by zebrać nakrycia.

- O co chodzi? - Joe uniósł wzrok, bo wyczuł, że Mallory przygląda mu się badawczo.

- Ach, nic - uśmiechnęła się, jakby speszona. - Pomyślałam sobie tylko, że twoja fryzura wymaga już chyba interwencji fryzjera.

- Tak, wiem. - Przejechał dłonią po włosach, przeczesując je lekko. - Zamierzałem nawet spytać cię, gdzie znajdę jakieś nożyczki.

- Mogę obciąć ci włosy. - Usłyszała ze zdziwieniem swój własny głos..

- Naprawdę? Zrobiłabyś to?

- Jasne, dlaczego nie?

Miał wrażenie, że nie dawniej niż wczoraj siedział na krześle naprzeciwko Molly, a ona, z nożyczkami w ręku, delikatnymi, ostrożnymi ruchami skracając jego włosy. Kosmyk po kosmyku. Chciał zrobić to sam, ale ona nalegała.

Za kilka dni miał się odbyć ich ślub. Chciała, by tego dnia wyglądał piękniej niż kiedykolwiek.

Był ciepły letni wieczór wypełniony jedynie cichym szmerem ich rozmów. Snuli marzenia o wspólnej przyszłości.

Jeszcze teraz wydawało mu się, że czuje zapach wody różanej, której używała, i miękki dotyk jej palców na swojej głowie.

- Najlepiej będzie, jeśli zrobimy to na zewnątrz.

- Ach tak, strzyżenie - przytaknął, jakby wyrwany z głębokiej zadumy. -

Powinniśmy się pospieszyć, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

Skinęła głową.

O czym myślała, proponując Joemu strzyżenie? W tym właśnie problem. Ostatnimi czasy wydawało się, że w ogóle przestała myśleć. Zupełnie, jakby w jego obecności nagle traciła głowę. Słowa wypływały z jej ust, zanim jeszcze na dobre zdążyła uświadomić sobie ich znaczenie.

Jakieś dziwne sceny i na wpół znajome obrazy nieustannie wirowały w jej głowie, wywołując lawinę ni to marzeń, ni to wspomnień, w których głównymi bohaterami byli niezmiennie ona i Joe Mitchum.

Joe siedział na werandzie, na jednym z krzeseł. Czekał cierpliwie.

Wzięła głęboki oddech, podeszła i stanęła za jego plecami.

- Więc... - odezwała się. - Zaczynamy?

- Jestem gotów - potwierdził. - Może powinienem narzucić coś na ramiona, tak żeby włosy nie spadały na koszulę?

- Czemu nie zdejmiesz jej w ogóle? - Stanowczo lepiej by było, gdyby trzymała język za zębami! Tymczasem to, o czym przed chwilą marzyła, stało się rzeczywistością - szerokie, muskularne ramiona Joego znalazły się nagle tuż przed jej oczami. Poczula skurcz w gardle. Z wielkim trudem przełknęła ślinę.

Joe odłożył koszulę na oparcie sąsiedniego krzesła.

Właściwie w czym problem? Mogła przecież omijać wzrokiem jego umięśniony kark i nagie ramiona, czyż nie? Powinna się skupić na strzyżeniu i patrzeć wyłącznie na włosy.

- Czy coś się stało? - Zdziwiony Joe odwrócił się w jej stronę.

- Nie, dlaczego? - zaprzeczyła niepewnie.

- Nie wiem. Ciekaw jestem tylko, dlaczego jeszcze nie zaczęłaś.

- Zastanawiałam się... jak cię ostrzyc.

Mallory, starając się nie myśleć już o niczym więcej, sięgnęła po nożyczki.

To było znowu to! Nie wiadomo skąd i jak, nagle poczuła zapach róż.

Przecież to tylko włosy! - upomniała w myślach samą siebie.

Ostrożnie, tak by niczego nie zauważył, pochyliła się nad nim i wciągnęła w nozdrza zapach jego skóry, pomieszany z wonią wody toaletowej.

Nie było róż. Raczej zapach wiosennego deszczu - wilgotny i orzeźwiający zarazem.

- Doktor McKinley pytał mnie dzisiaj o twoje zdrowie - zdecydowała się wreszcie przerwać ciszę. - Uważa, że jesteś przykładem swoistego cudu medycyny.

- Doprawdy?

- Powiedz, ile pamiętasz z czasów przed wypadkiem?

- Niewiele. Z tego jednak, co mi wykrzyczałaś, zdążyłem się zorientować, że musiałem być niezłym draniem.

- Cóż...

- Nie zaprzeczaj - wszedł jej w słowo. - Nawet nie wiesz, jak mi przykro z powodu tego wszystkiego.

- To już coś. Wystarczy, by przynajmniej spróbować zacząć życie od nowa.

- Niczego bardziej nie pragnę. I ufam, że mi się powiedzie.

Wstrząs elektryczny, jaki przeszedł, rzeczywiście musiał mieć zbawienny wpływ na jego podejście do życia, bo to, co mówił, brzmiało nad wyraz przekonująco.

- Jestem tego pewna. - Jej palce raz po raz przeczesywały włosy Joego, a nożyczki szybko i pewnie wykonywały kolejne ruchy. I chociaż robiła to po raz pierwszy w życiu, strzyżenie szło jej wyjątkowo sprawnie. Zupełnie, jakby jej palce odnajdywały się w tej czynności, jakby „pamiętały”, jak powinno się to robić.

- Chciałbym skosić trawę przed kliniką.

- Co takiego? - Jej dłonie zatrzymały się w pół ruchu. - Dlaczego?

- Dla ciebie. Kto zajmował się tym do tej pory?

- Bo ja wiem... Różni ludzie.

- Wezmę się za to.

- W porządku - zgodziła się w końcu. Może rzeczywiście pragnął się zmienić?

Może już się zmienił? - Doceniam to.

Kilka kolejnych ruchów i Mallory odłożyła nożyczki.

- I co o tym sądzisz? - zapytała, podając mu lusterko.

Ostrożnie, jakby obawiając się tego, co może zobaczyć, Joe wziął lusterko z jej rąk. Przez chwilę przyglądał się sobie w milczeniu.

- Nieźle - odezwał się w końcu. - Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

- Nareszcie mówisz jak dawny Joe - zaśmiała się.

Wstał, otrzepując z ramion resztki włosów. Rozejrzał się za swoją koszulą i odnajdując ją na oparciu sąsiedniego fotela, wyciągnął po nią rękę. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy Mallory wyciągnęła swoją. Ich dłonie zetknęły się.

Niewiele myśląc, chwycił jej rękę i przyłożył ją do swojej nagiej piersi. Dokładnie tam, gdzie pod napiętą, rozpaloną skórą jego serce wystukiwało jednostajny rytm.

Przełknęła ślinę.

- Tak długo czekałem - wyszeptał, robiąc krok do przodu.

Ciepło promieniujące z jego ciała owionęło teraz ją całą.

To już tak dawno... przebiegło jej przez głowę. Znowu? O co w tym wszystkim chodzi?

Głowa Joego pochyliła się i na wysokości swoich ust nieoczekiwanie odkryła wargi Mallory. Wyczekujące i gotowe. Potężna niczym lawina fala tęsknoty wstrząsnęła całym jej ciałem.

Przyciągnął ją do siebie czule i uniósł w górę jej podbródek. Ich spojrzenia zetknęły się, zatapiając się w sobie nawzajem. To samo uczyniły po chwili ich usta.

Resztkami świadomości próbowała odsunąć się od niego, nie pozwolić, by emocje zawładnęły jej umysłem, by to one dyktowały warunki.

Nie teraz! Nie, Joe! - krzyczało coś w jej wnętrzu.

Jednak jedyne, na co potrafiła się zdobyć, to przywrzeć do niego jeszcze silniej, opleść go ramionami tak, jak bluszcz oplata pień drzewa i marzyć, by ta chwila trwała wiecznie.

- Mallory... - usłyszała jego szept. - Nawet nie wiesz, jak bardzo mi ciebie brakowało...

- Nic nie mów, proszę... - Nie chciała słuchać. Za bardzo bała się tego, co mógłby jej powiedzieć.

- Przepraszam, wybacz mi. - W jego głosie dosłyszała szczerą skruchę. - Ale pragnąłem tego od tak dawna...

- Nie mów tak! - Gwałtownie oswobodziła się z jego uścisku. Puls w jej skroniach łomotał jak oszalały. - Lepiej nic nie mów, słyszysz? To wszystko jest już i tak wystarczająco skomplikowane.

- Czy nie rozumiesz? - Spojrzał na nią pytająco i niemal błagalnie. - To rzeczywistość jest skomplikowana.

- Rozumiem jedynie to, że taka sytuacja nie może się już więcej powtórzyć.

- Dlaczego nie? Czy nie widzisz, jak wszystko doskonale do siebie pasuje? Niczym części jednej układanki.

- Nie widzę już nic - niemal krzyknęła. - Mój umysł jest zaślepiiony przez emocje, które nawet nie są tak do końca moimi.

- Nie zamierzasz chyba twierdzić, że nic nie czułaś, kiedy się całowaliśmy?

- W tym właśnie problem - wyznała cicho. Nie miała odwagi spojrzeć mu teraz w oczy. - W tym tkwi problem. Bo czułam się tak, jakby to nie był pierwszy raz. Zupełnie, jakbym całowała cię wcześniej setki, tysiące razy!

Nikły, ledwie dostrzegalny cień uśmiechu rozbłysnął nagle na jego rozchyłonych ustach, po czym przeniósł się wyżej, w kąciaki oczu.

- A co złego byłoby w tym, gdyby to była prawda? - zapytał.
- Och, daj spokój! To wszystko nie ma żadnego sensu.
- Są rzeczy, których nie da się logicznie wytłumaczyć, Mallory.
- Na coś takiego nie ma miejsca w moim świecie - potrząsnęła głową. - Nie potrafię wyjaśnić, co się dzieje, ale wiem, że to nigdy więcej nie może się powtórzyć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tak jak się umówili, następny dzień poświęcili na wizytę w Slapdown.

Joe miał jakieś sprawy do załatwienia w mieście, a Mallory nie wypytywała o szczegóły. Im mniej o nim wiedziała i im mniej mieli wspólnych spraw, tym lepiej.

Wczorajszego wieczora spędziła długie godziny, leżąc w łóżku i przekręcając się z boku na bok. Jej myśli zaprzątnięte były tylko jednym pytaniem: jak mogło dojść do pocałunku? Jak to możliwe, że pierwszy lepszy mężczyzna był w stanie spowodować w jej głowie aż takie zawirowania? Czyżby była aż tak zdesperowana?

Burza rozszalałych hormonów, jaka przetoczyła się przez jej ciało, to jedno, a dziwaczne, zupełnie pozbawione podstaw wrażenie, że oboje należą do siebie - to drugie.

Nie, nie chodziło o chemię, jaką wyzwalala w niej osoba Joego. To dawało się łatwo wytłumaczyć. Ale wrażenie, jakie odczuła w chwili, kiedy jego usta dotknęły jej warg, przerażało ją. Zupełnie, jakby wszystko trafiło znowu na swoje miejsce.

Zanim zostawiwszy Joego, ruszyła w stronę swej ulubionej piekarni, udało jej się ustalić dwie rzeczy.

Po pierwsze - nikt nie byłby w stanie zmienić swych wieloletnich przyzwyczajzeń w ciągu zaledwie dwóch tygodni, i po drugie, żadnych więcej bliższych kontaktów, a w szczególności pocałunków, z Joem Mitchumem.

Jasne było również, że jeśli zamierza wyrzucić go ze swoich myśli, musi najpierw pozbyć się go ze swego domu. Tylko jak?

- Mallory! Hej!

Na dźwięk swego imienia Mallory odwróciła się. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła Dorian Tucker, która machała ręką w jej stronę. Odmachała w jej kierunku.

- Mallory, cześć! Jak miło cię widzieć! - zawołała Dorian, kiedy zrównały się ze sobą.

- Dorian! Co ty tu robisz?!

Odkąd zeszłej zimy Dorian i Briny pobrali się, stali się niemal nierozłączni i oboje przestali mieć czas na odwiedziny u starych znajomych. Mallory śmiała się, że wciąż jeszcze nie mogą się sobą nacieszyć. Tym dziwniejsze wydało się jej, że tym razem przy boku Dorian zabrakło męża.

- Briny musiał coś załatwić w mieście - rozwiąła jej wątpliwości przyjaciółka. - Nawet nie miałam czasu, żeby do ciebie zadzwonić i umówić się na dziś, bo wszystko okazało się dosłownie w ostatniej chwili.

- Nic nie szkodzi. I tak się cieszę, że cię widzę - odparła uradowana Mallory. - Spadłaś mi jak z nieba.

Joe przyglądał się wszystkiemu z uwagą. Niewątpliwie Slapdown bardzo się rozwinęło w ciągu ostatnich stu lat. Zmieniło się niemal nie do poznania. Największe wrażenie zrobiły na nim migające na przemian czerwone i zielone światła na rogach ulic.

Spacerował bez celu, ot tak, po prostu, by zapoznać się na nowo ze swym starym rodzinnym miastem.

W pewnym momencie usłyszał czyjś radosny okrzyk. Obejrzał się.

- Joe! - wołał w jego stronę jakiś krępy, dość młody mężczyzna stojący w drzwiach otwartego warsztatu samochodowego. - Niech mnie kule! Joe Mitchum!

- Bob, jak się masz - odpowiedział Joe. Nie byłoby źle, gdyby wszyscy nosili plakietki ze swymi imionami przypięte do ubrań, pomyślał. Dzięki temu życie stałoby się o wiele łatwiejsze.

- Powiedz, ciągle zamierzasz pozbyć się swojego starego dżipa? Bo jeśli tak, nasza umowa jest nadal aktualna.

Joe nie miał co prawda pojęcia, o jakiej umowie może mówić Bob, nie zamierzał jednak dać zbić się z pantałyku.

- Pewnie - potwierdził oględnie. - Dokładnie tak, jak się umawialiśmy.

- W takim razie wejdźmy do środka. - Bob zaprosił go ruchem ręki. - Umowa jest już od dawna przygotowana

- Świetnie - zgodził się Joe, choć wciąż nawet się nie domyślał, o czym tak naprawdę mówią. - Umowa jest umową.

- Coś takiego! Od kiedy tak uważasz? - dobrodusznie zaśmiał się Bob. - Zresztą, nieważne. Tak, jak obiecałem, obejrzałem dokładnie twojego staruszka i rzeczywiście, nie jest w najlepszym stanie. Dobrze zrobiłeś, że postanowiłeś go sprzedać.

Sprzedać! Nareszcie wszystko zaczynało układać się w logiczną całość.

- A poza tym, co u ciebie słyszeć, Joe? Jak się czujesz? - zagadnął ponownie Bob, prowadząc go w stronę niewielkiego biura na tyłach warsztatu. - Słyszeliśmy o tym, co ci się przydarzyło.

- Miałem wiele szczęścia - odpowiedział Joe. - I dzięki Bogu, z każdym dniem czuję się lepiej.

Gdy usiedli przy biurku, Bob podsunął w jego stronę plik dokumentów, prosząc o ich podpisanie. O dziwo, ręka Joego szybkim i pewnym ruchem nakreśliła na papierze nowe imię i nazwisko, zupełnie jakby robiła to od zawsze. Cóż, w pewnym sensie tak właśnie było.

Odbierając dokumenty, Bob podał mu parę nowych kluczyków.

- Ford stoi na parkingu z tyłu warsztatu. Możesz odjechać nim choćby zaraz.

- Dzięki - odpowiedział Joe i wstał, by ruszyć za Bobem.

Nie umiał prowadzić, więc liczył jedynie na to, że Celestian mówił prawdę i że niektóre z umiejętności „odziedziczył” po swym „poprzedniku” w zupełnie naturalny sposób.

Na podjeździe z tyłu warsztatu stał zaparkowany ciemnozielony ford. Joe podszedł do niego niepewnie. Bob podążył w ślad za nim.

Joe otworzył drzwi, usiadł na miejscu kierowcy i włożył kluczyk do stacyjki, tak jak robiła to Mallory. Przekręcił go i maszyna odezwała się głuchym pomrukiem. Lewa noga Joego opadła z wolna, podczas gdy prawa uniosła się do góry. Auto ruszyło.

Joe pomachał Bobowi na pożegnanie ręką i nie do końca rozumiejąc to, czemu się poddawał, pozwolił, by tym razem poprowadził go instynkt.

Po kilku przecznicach, które przejechał z duszą na ramieniu, zaparkował auto. Tym razem naprzeciwko banku.

Na szczęście przynajmniej ten budynek nie zmienił się tak bardzo od czasów młodości Willa.

Mocno pchnął ciężkie, masywne drzwi i znalazł się w mrocznym holu. O dziwo, wszystko wyglądało tu niemal dokładnie tak jak przed stu laty. No, może z wyjątkiem komputerów.

- W czym mogę pomóc? - usłyszał z okienka kobiecy głos.

- Nazywam się Joe Mitchum - zwrócił się do pracownicy banku, zadowolony, że jak na razie wszystko szło o wiele łatwiej, niż mógłby przypuszczać.

- Tak jakbym nie wiedziała - odezwała się kobieta nieco zgryźliwie. Jeśli wierzyć plakietce umieszczonej przy jej okienku, nazywała się Doren Briggs i nie wyglądała na uszczęśliwioną spotkaniem. - Pytam, w czym mogę pomóc.

- Liczyłem na to, że poinformuje mnie pani, czy nadal mam rachunek w państwa banku.

Kobieta wystukała kilka cyfr na klawiaturze komputera.

- Owszem - potwierdziła sucho. - Rachunek nie został zamknięty.

Najwyraźniej dawny Joe założył za skórę również i jej.

- Czy są na nim jakieś dostępne środki? Kobieta wykonała kilka kolejnych kliknięć.

- Biorąc pod uwagę ostatnią wpłatę - tak, na pana koncie są dostępne środki - odpowiedziała i zniżając głos do szeptu, dodała: - Ale ja już nie.

- Słucham? - Najwyraźniej banki musiały zmienić się o wiele bardziej, niż początkowo sądził.

- Mówię tylko, że ten konkretny rachunek może pan uważać za zamknięty.

- Wybacz pani, ale nie rozumiem...

- Proszę się wreszcie zdecydować. Klienci czekają.

- Chciałbym się dowiedzieć, czy mogę wypłacić część środków.

Korzystanie z pieniędzy zmarłego budziło w nim co prawda mieszane uczucia, jednak z drugiej strony... Technicznie rzecz biorąc, przecież to on nazywał się teraz Joe Mitchum.

- Jeśli tylko o to chodzi, może pan wypłacić wszystko i zlikwidować swój rachunek choćby dzisiaj - zachnęła się dziewczyna i nie kryjąc niechęci, wypłaciła żądaną kwotę.

Cóż, pozostawało mu tylko mieć nadzieję, że Joe Mitchum nie miał przeciw sobie całego miasta.

Z ulgą zamknął za sobą drzwi banku. A ciepły, letni podmuch wiatru sprawił, że niesympatyczna dziewczyna z okienka i jej zły nastrój szybko wyleciały mu z głowy.

Cóż mogło być ważniejszego od tego, że znowu cieszył się powietrzem, słońcem, zielenią, otaczającymi go ludźmi? Że znów mógł chodzić o własnych siłach, nie sycząc z bólu przy każdym kroku? Że mógł cieszyć się życiem...

Następnym przystankiem w jego spacerze po miasteczku była, zgodnie z napisem na szyldzie, kawiarnia Dot na przeciwległym rogu ulicy.

Dzwonek nad drzwiami odezwał się przyjemnym, niskim dźwiękiem, w chwili gdy Joe otwierał drzwi lokalu. Kilka siedzących w środku osób odwróciło się w jego kierunku. Jednak nikt się nie odezwał, chociaż było jasne, że ludzie go rozpoznali, bo na jego widok zniżyli głosy do szeptu.

- Dzień dobry, Dot. - Joe uklonił się kobiecie siedzącej za kontuarem.

- Witaj, Joe! - przywitała go, o dziwo, serdecznie. - To co zawsze?

Skinął głową i już po chwili na jego stoliku stała filiżanka czarnej kawy i talerzyk z kawałkiem szarlotki.

- Wyglądasz naprawdę nieźle - zagadnęła Dot. - Zwłaszcza jak na kogoś, kto był już jedną nogą na tamtym świecie!

- Dziękuję, Dot. - Uśmiechnął się. - Czy nie słyszałaś o kimś, kto potrzebuje pracownika?

- Szukasz pracy? - zapytała. Nawet jeśli zdziwiła ją ta informacja, nie dała tego po sobie poznać. - Podobno Tag Peeler potrzebuje pomocników przy budowie kolejnego domu. Z tego, co wiem, wyjechał na cały weekend, ale ma wrócić już w poniedziałek. Czy chcesz, żebym szepnęła mu o tobie słówko?

- Naprawdę, zrobiłabyś to? - Na całe szczęście Joe Mitchum przynajmniej z Dot nie był skłócony. - Byłbym ci bardzo wdzięczny.

- Obiecałam przecież twojej matce, że będę cię miała na oku. - Kobieta serdecznym ruchem zmierzwiła ręką jego włosy. - I zamierzam dotrzymać słowa. Czy nadal mieszkasz u doktor Peterson? Mam poprosić Taga, by tam zadzwonił w sprawie pracy?

- Tak, nadal tam mieszkam - potwierdził Joe. - Będę ci bardzo zobowiązany.

- Zobowiązany? - Dot zaśmiała się, jednak w jej głosie nie było cienia złośliwości. - Sądziłam, że ostatnie dni spędziłeś w szpitalu, nie w szkole dla grzecznych chłopców! Wyglądasz jakoś...

- Inaczej? - podpowiedział.

- Tak, to też - potwierdziła. - Jednak nie to chciałam powiedzieć. Wyglądasz po prostu... dobrze, chłopcze.

- Dziękuję, Dot.

Ich rozmowę przerwał nieoczekiwanie dźwięk dzwonka nad drzwiami.

- Hej, Joe! - Do jego uszu dobiegł jakiś piskliwy damski głosik. - Więc to tutaj się podziewasz, dzieciño?!

Odwrócił głowę i napotkał zalotne spojrzenie blond piękności z niewielkim tatuażem w kształcie motyla na ramieniu.

- Glorietta. - Skinął głową w jej kierunku.

- Do diabła, Joe! Wyglądasz tak apetycznie, że można by cię zjeść - kontynuowała nie zrażona jego brakiem entuzjazmu. - Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Mówiąc to, przysiadła się do jego stolika i założywszy nogę na nogę, wlepiła w Joego nadzwyczaj zalotne spojrzenie.

- Byłem zajęty.

- I nie miałeś ani chwili? - Złożyła w dzióbek swe umalowane usteczka, udając zdziwienie. - Nawet dla mnie?

Glorietta i Joe... Najwyraźniej tych dwoje miało ze sobą w przeszłości wiele wspólnego. Pytanie tylko, jak wiele i w jaki sposób uda mu się przekonać teraz dziewczynę, że tamta historia straciła na aktualności.

Na szczęście z pomocą ponownie przyszła mu Dot.

- Hej, królewno! - zawołała w stronę Glorietty. - Przyszłaś tu po to, by coś zjeść, czy po to, by niepokoić moich klientów?

Dziewczyna obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

- Przyszłam, bo chciałam porozmawiać ze swoim przyjacielem - odpowiedziała, ponownie przenosząc wzrok na Joego. - Dzisiaj wieczorem w „Pete's Bar” jest dyskoteka. Nie wybrałbyś się tam ze mną? Wciąż jesteś mi dłużny jeden taniec, pamiętasz?

Mówiąc to, pochyliła się, wczepiając swe palce z jaskrawo wymalowanymi paznokciami w jego ramię.

Joe mimowolnie odsunął się odurzony zapachem tanich perfum i odorem tytoniu.

- Pamiętasz ostatni raz? - zagadnęła ponownie Glorietta, nie mogąc doczekać się odpowiedzi. - Więc jak?

Dot, jak dobry anioł, ponownie pojawiła się przy ich stoliku.

- Och, skarbie - zaczęła, zwracając się w stronę Glorietty. - O mały włos, byłabym zapomniała. Warren Pickens pytał o ciebie. Podobno macie coś do omówienia.

- Czyżby? - Oczy Glorietty zwięzły się do cieniutkich szparek i dziewczyna, jakby zirytowana w końcu brakiem zainteresowania ze strony Joego, podniosła się i bez słowa wyszła.

Po chwili podniósł się i Joe.

- Dzięki za kawę, Dot - powiedział, płacąc przy barze. - I za uchronienie mojej skóry.

- Nie ma sprawy. Twoja matka i ja byliśmy przyjaciółkami. - Dot uśmiechnęła się. - Uważaj na siebie, chłopcze. Wiesz, co mam na myśli? Kojoty, wilki i czepliwe jak rzep blondynki...

Zanim wyszedł, oboje wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

Ostre słońce na zewnątrz niemal oślepiło go swoim blaskiem. Zamknął za sobą drzwi kawiarni i w tym samym momencie do jego uszu dobiegł czyjś rozentuzjasmowany głos.

- Hej, Joe! To naprawdę ty? - Wysoki mężczyzna mniej więcej w jego wieku wysiadał właśnie z luksusowego auta i zanim Joe zdążył w jakikolwiek sposób zareagować, uścisnął go serdecznie. - Stary, wyglądasz naprawdę nieźle!

- I tak właśnie się czuję. - Niestety, w klapie dość ekskluzywnie wyglądającej marynarki mężczyzny nie widniała żadna plakietka z imieniem i nazwiskiem jej właściciela.

- Zamierzałem odwiedzić cię już dawno temu, ale uwierz mi, nie miałem ani jednej wolnej chwili, by wpaść do miasta. - Nieznajomy uśmiechnął się przeproszająco.

- Mallory mówiła mi, co się stało z twoją przyczepą. Bardzo mi przykro.

- Wcześniej czy później musiało do tego dojść.

- Nie mogła sobie darować, że to na skutek jej wcześniejszych skarg z dnia na dzień zostałeś bez dachu nad głową.

Ach, więc to sprawka Mallory? - Joe uśmiechnął się sam do siebie. Dobra robota, Mall.

- Spełniła tylko swój obywatelski obowiązek.

- W takim razie cieszę się, że nie żywisz do niej urazy. - Mężczyzna serdecznym ruchem poklepał go po ramieniu i uśmiechając się porozumiewawczo, dodał: - Widzę, że terapia wstrząsowa, jaką sobie zafundowałeś, miała na ciebie zbawienny wpływ. I dobrze, bo jestem tu po to, by ci pomóc.

Skoro tak, przebiegło przez głowę Joemu, z pewnością mam do czynienia z Brindonem Tuckerem, tym samym, o którym niedawno wspominała Mallory.

Teraz przypomniał sobie również zdjęcie jego i jego niedawno poślubionej żony, Dorian, które oprawione w ramki stało na jednej z półek biblioteczki pani doktor.

Oboje należeli do grona najlepszych przyjaciół Mallory i z tego, co mówiła, wynikało, że również i jego darzyli sporą sympatią. Podobno obaj z Brindonem przyjaźnili się jeszcze w czasach szkolnych i pomimo próby czasu i zmiennych kolei losu ich przyjaźń przetrwała aż po dzień dzisiejszy.

Na całe szczęście, bo pośród wszystkich wrogów, jakich narobił sobie w mieście stary Joe, przyjaźń Brindona była teraz na wagę złota.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Mallory i Dorian zasiadły przy stoliku w kawiarni i już po chwili kelner postawił przed nimi zamówioną kawę i szklaneczki z wodą.

- Sądząc z tego, co widzę, życie małżeńskie ci służy - zagadnęła Mallory. - Wyglądasz naprawdę świetnie!

- Rzeczywiście - przytaknęła przyjaciółka, upijając ze swej szklanki mały łyk wody. - Brindon to absolutnie najlepsze, co mnie w życiu spotkało.

- Z tego, co wiem, on mówi dokładnie to samo o tobie - roześmiała się Mallory, gdzieś w głębi duszy uświadamiając sobie z żalem, że tych dwoje dzieli ze sobą coś, co nigdy nie stanie się jej udziałem. - Powiedz, co porabiasz, poza tym, że tak doskonale wyglądasz i osładzasz życie swego męża.

- Och, mam trochę pracy w fundacji - zaczęła Dorian, skromnie spuszczać powieki. - Poza tym...

- Niech zgadnę - weszła jej w słowo Mallory. - Masz dla mnie jakąś wiadomość!

- Jesteś lekarzem, nic się przed tobą nie ukryje! - Dorian roześmiała się wesoło. - Rzeczywiście. Ja i Brindon spodziewamy się dziecka. Ale na razie proszę, nie mów o tym nikomu, bo najpierw sami musimy oswoić się z tą wiadomością.

- Moje gratulacje! - Mallory uścisnęła serdecznie ramię przyjaciółki. - I oczywiście, będę milczeć jak grób. Możesz być spokojna. Co na to Briny?

- Jest przerażony. Chociaż już obiecał sobie, że postara się być najlepszym ojcem na świecie.

- Jestem pewna, że tak właśnie będzie. Briny to wspaniały facet.

Mallory mówiła prawdę. Brindon wygrał kiedyś niemałą sumę w loterii pieniężnej, ale wygrana nie przewróciła mu w głowie. Co więcej, pomógł urzeczywistnić Mallory i reszcie mieszkańców miasta ich marzenia, finansując budowę kliniki, w której pracowała. Slapdown zawdzięczało mu naprawdę wiele.

Tych dwoje miało niesamowite szczęście, że los ich ze sobą zetknął. Otrzymali wszystko - młodość, zdrowie, wzajemną miłość, a w dodatku, w niedalekiej przyszłości, przyjdzie na świat ich dziecko.

I chociaż Mallory kochała swój zawód, to w głębi duszy musiała przyznać, że nie był on wszystkim, co mogłoby wypełnić jej samotne w gruncie rzeczy życie i co pozwoliłoby zapomnieć o coraz częściej odzywającej się tęsknocie za drugą połową.

- Jestem naprawdę szczęśliwa, że między wami wszystko układa się aż tak dobrze - powiedziała szczerze, chociaż z jej głosu przebijał jakiś dziwny smutek.

- Dziękuję, Mall. I cieszę się, że właśnie z tobą mogę podzielić się swoją radością. - Dorian uśmiechnęła się serdecznie do przyjaciółki. - Ale wystarczy o nas. Powiedz lepiej, co u ciebie. I jak się mają sprawy z Joem Mitchumem?

- A co słyszałaś? - Mallory ze wszystkich sił starała się, by ton jej głosu brzmiał najzupełniej normalnie.

- Tylko to, o czym mówią wszyscy. O piorunie i o tym, że uratowałaś Joemu życie - wyliczyła Dorian.

- Brindon mówił mi również o przyczepie, no i że Joe zamieszkał u ciebie.

Mallory oparła się plecami o tył krzesła.

- Zgadza się - potwierdziła nieodgadnionym tonem. - I chociaż to rozwiązanie miało być jedynie tymczasowe, nie dałam rady znaleźć nikogo, do kogo mogłabym go odesłać. A ponieważ to z mojej winy stracił swoją przyczepę, w pewien sposób czuję się teraz odpowiedzialna za jego los.

- Rozumiem. - Dorian energicznie pokiwała głową.

- Pamiętaj jednak o jednym. Są ludzie, którzy nigdy się nie zmieniają. Pomagając im, utwierdzasz ich tylko w przekonaniu, że są w porządku, i powodujesz, że ich wymagania z czasem zaczynają rosnać. Jak sądzę, do takich osób należy właśnie Joe Mitchum.

- Masz rację. Ale tylko w teorii - zgodziła się Mallory. - Gdybym mu nie pomogła, przez resztę życia zamęczałabym się wyrzutami z jego powodu.

- To przecież nie twoja wina, że nagle stracił dach nad głową.

- Tak się właśnie składa, że moja.

- Bzdura. Gdybyś nie złożyła wtedy skargi do władz miasta, wcześniej czy później zrobiłby to za ciebie ktoś inny. Pan Mitchum miał wystarczająco dużo czasu, by uporządkować swój teren.

- Wiem, ale...

- Żadnych „ale” - weszła jej w słowo Dorian. - Co to, zamierzasz zostać Altruistą Roku? Zresztą, od zawsze dziwiło mnie, skąd u Brindona taki sentyment do Joego, ale on odpowiadał mi niezmiennie, że dużo razem przeszli.

- To prawda. - Mallory uśmiechnęła się w zamyśleniu. - Brindon zawsze widział w nim to, czego nikt inny nie dostrzegał. Ale muszę ci powiedzieć, że... Joe się zmienił.

- Co masz na myśli?

- Od czasu wypadku jest zupełnie innym człowiekiem. - Mallory zniżyła głos do szeptu. - Lepszym człowiekiem. Człowiekiem, jakim mógłby być, gdyby wcześniej nie dokonał kilku niefortunnych życiowych wyborów.

Dorian spojrzała na przyjaciółkę z niekłamany zainteresowaniem.

- Może zamówimy coś do jedzenia? Zanoszę na dłuższą pogawędkę - zaproponowała Mallory.

- Doskonały pomysł - przytaknęła Dorian.

Mallory przywołała ręką kelnera. Podszedł i wręczył im kartę, a one zamówiły dwie porcje risotta.

- Ostatnimi czasy mam po prostu wilczy apetyt - zaśmiała się Dorian.

- Nic dziwnego. - Mallory pokiwała głową. - Przecież teraz jesz za dwoje!

- To prawda. - Dorian czułym ruchem pogłaskała swój wciąż jeszcze płaski brzuch. - Chociaż nadal nie mogę w to uwierzyć. Ale wracając do Joego... Czy ty naprawdę nie przesadzasz? Przecież nie możesz zbawić całego świata!

- Wiem. Ale on naprawdę nie jest aż tak złym człowiekiem - tłumaczyła Mallory, czując jednocześnie, jak mimowolnie się czerwieni. - Powiedziałabym nawet, że jest dość... miły. I interesujący.

- Doprawdy? - Dorian nie kryła swego zdumienia. - Gdybym cię tak dobrze nie знаła, pomyślałabym nawet, że zaczynasz go lubić.

- Nie nazwałabym tak tego. - Mallory w zamyśleniu pokręciła głową. Sympatia to tylko jedno z uczuć, które nią zawładnęły w chwili, kiedy Joe ją pocałował.

- Nie? A jakbyś to w takim razie nazwała? - Dorian wyglądała na co najmniej poruszoną.

- Sama nie wiem - wyznała cicho Mallory - Zawsze, ilekroć on jest w pobliżu, dzieje się ze mną coś dziwnego. Jakby otaczały mnie stare, dobre wspomnienia. Nigdy wcześniej nie. przeżywałam czegoś takiego.

Dorian badawczo uniosła prawą brew.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała takim tonem, jakby spodziewała się usłyszeć najgorsze.

Mallory wzięła głęboki wdech. Teraz albo nigdy! - pomyślała.

- Z powodów, których całkowicie nie potrafię wyjaśnić... - zaczęła drżącym głosem - ... czuję, że on coraz bardziej zaczyna mi się podobać.

Nareszcie, wyrzuciła to z siebie! O dziwo, Dorian nie wyglądała na osobę zaszokowaną tą wiadomością. Ani nawet zniesmaczoną.

- Tak zwyczajnie? W czysto fizyczny sposób? - zapytała tylko.

- Tak i nie.

- Mam rozumieć, że zrobił na tobie wrażenie również w sensie intelektualnym? - Tym razem w jej głosie pojawiła się nutka niepokoju.

- Prawdę mówiąc, dokładnie tak. - Mallory westchnęła ciężko. - Kiedy jestem blisko niego, a szczególnie wtedy, gdy go dotykam, odczuwam jakieś dziwne podniecenie. Zupełnie, jakby coś kazało mi widzieć w nim atrakcyjnego mężczyznę. Dochodzi do tego, że czuję nawet zapach róż z bukietu, który nie istnieje... Czy ty w ogóle rozumiesz, o czym mówię?

Dorian z rezerwą pokiwała głową.

- Więc dlaczego nic nie mówisz?

- Może - miłość jest ślepa. Albo - o gustach się nie dyskutuje - próbowała zażartować Dorian.

- To nie jest śmieszne. - Mallory posłała przyjaciółce smętne spojrzenie.

- W porządku, przepraszam. - Dorian uśmiechnęła się przepraszająco. - Mam co najmniej dwie teorie. Którą wolisz usłyszeć najpierw? Racjonalną czy irracjonalną?

- Biorę tę pierwszą za sto punktów.

- Proszę bardzo. - Dorian poprawiła się na krześle. - Oto moje zdanie - twój zegar biologiczny tyka. Pomijając wszystko inne, Joe jest przystojnym, młodym człowiekiem, z dużą dozą uroku, charakterystycznego dla wszystkich dużych i niegrzecznych chłopców. Ostatnio spędzacie ze sobą sporo czasu. Ty sama jesteś już odrobinę... zdesperowana. Cóż, rozumiesz. Po prostu czysta biologia.

- Taka jest twoja wersja.

- Chciałaś ją poznać.

- A co z wytłumaczeniem irracjonalnym? - zapytała Mallory, przekonana, że nic gorszego nie może już dzisiaj usłyszeć.

- Cóż, a jeśli czujesz się odpowiedzialna za jego życie, ponieważ to właśnie ty je uratowałaś? To chyba musiało być dosyć osobiste przeżycie, które was do siebie zbliżyło? Może to wszystko traktujesz po prostu zbyt osobiście?

- Brzmi dość wiarygodnie - przyznała w zamyśleniu Mallory. - Nadal jednak nie wyjaśnia zapachu róż.

- W takim razie poddaję się! - Dorian uniosła ręce i westchnęła. - Jeśli wybierasz się w najbliższym czasie do Dallas, mogę dać ci numer znakomitego psychoterapeuty.

- Więc ty również uważasz, że zwariowałam?! - zawołała Mallory z satysfakcją. - Bo tak właśnie brzmi moja diagnoza.

- Nie, tego nie powiedziałam - Dorian zaprzeczyła z nieodgadzionym uśmiechem na ustach. - Co prawda, moim zdaniem, stan zakochania jest w pewnym sensie stanem chorobowym, jednak z tego, co wiem, nie wpisano go jeszcze na oficjalną listę chorób. A może się mylę?

- Czy ja dobrze zrozumiałam?! - Mallory aż uniosła się na krześle. - Więc twoim zdaniem zakochałam się w Joem Mitchumie?

- A możesz zaprzeczyć?

- Ależ Dorian! - Mallory zajęta ponownie swoje miejsce przy stoliku. - Czy obie mówimy o tym samym mężczyźnie?

- Twierdziłaś przecież, że się zmienił.

- Tak, ale...

- A może zmienił się tylko twój sposób postrzegania jego osoby?

Ostatnie dwa tygodnie Mallory nie myślała o niczym więcej. Niemal każdą bezsenłą noc zawdzięczała poszukiwaniom odpowiedzi na to pytanie.

- Nie - zaprzeczyła pewnie. - W tym przypadku jestem nad wyraz obiektywna. Od czasu wypadku Joe stał się zupełnie innym człowiekiem.

Dorian westchnęła ciężko.

- Więc dlaczego wypowiedziałas wojnę swoim uczuciom? - zapytała twardym tonem.

- Bo ludzie nie zmieniają się ot tak, z podmuchem wiatru. Albo nawet z uderzeniem pioruna.

- To prawda - poświadczyła przyjaciółka. - Ale mogą zmienić się siłą woli.

- Więc naprawdę tak myślisz? - W głosie Mallory przebijała słaba nadzieja. - I co ja mam teraz zrobić?

- Poddać się temu, co mówi serce. Dać mu szansę. - Przyjaciółka pochyliła się nad nią. - Albo jeszcze lepiej - dać szansę sobie samej. Pamiętaj - pewne rzeczy lepiej rozstrzygać sercem, nie rozumem.

- Dzięki. - Mallory skinęła głową; niezdecydowana, czy czuje wdzięczność, czy raczej konsternację.

- Nie ma za co. I pamiętaj, nadal mam numer tego psychoanalityka! - powtórzyła Dorian i spojrzawszy na zegarek, zawołała: - No, na mnie już czas! Inaczej spóźnię się na spotkanie z Brindonem!

Zapłaciwszy, obie kobiety wyszły z kawiarni, po czym pożegnały się i każda z nich ruszyła w swoją stronę.

Był dość wczesny wieczór, kiedy po pożegnaniu z Brindonem Joe zasiadł za kierownicą forda i ruszył w stronę domu Mallory.

Po raz pierwszy od wielu dni w jego sercu ożyła nadzieja. Był w stanie naprawdę dużo zmienić, jeśli po jego stronie staną ludzie tacy jak Briny.

Gdy parkował z tyłu domu, zauważył Mallory siedzącą w fotelu na werandzie. W rękę trzymała jakiś magazyn medyczny, a u jej stóp spał, rozłożony leniwie, jeden z psów.

Joe widział, jak przyglądała mu się dłuższą chwilę, gdy ruszył w jej kierunku.

On również nie spuszczał z niej oka. Oświetlona ostatnimi promieniami zachodzącego słońca wyglądała jak jakieś niezemskie zjawisko. Jak anioł, który zstąpił na ziemię, by naprawić ten zepsuty świat.

To była właśnie ona - kobieta, której pragnął. Nie blade wspomnienie jakiejś dawnej rzeczywistości, ale dokładnie ona - doktor Mallory Peterson. Ta, o której marzył.

Mógłby przysiąc, że gdy zatrzymał się naprzeciw niej, dostrzegł w jej oczach to samo przekonanie.

- Miałeś męczący dzień - usłyszał jej głos.
- Dostyc. Dokończyłem sprawę dzipa. - Wskazał ręką na swój nowy samochód.
- To dobra zamiana.
- Jest jeszcze parę rzeczy, które chciałbym dzisiaj zrobić - odezwał się, zdejmując z jej policzka jeden z niesfornych kosmyków i przesuwając go za ucho.

Drgnęła, jakby owiana podmuchem chłodnego wiatru, choć powietrze wokół było nieruchome.

- Spotkałem się dzisiaj z Brindonem. Byliśmy razem w Lubbock.
- ...?
- Nie interesuje cię, co tam robiliśmy?
- To nie moja sprawa, jak podejrzewam.
- Mylisz się - zaprzeczył z wyrzutem. - Wszystko, co robię, jest również twoją sprawą. Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

Nie odpowiedziała, jakby zbierając myśli.

- Briny pomoże mi znaleźć jakieś nowe miejsce. Coś, gdzie mógłbym zamieszkać i rozpocząć wszystko do początku.

- Więc przeprowadzasz się do Lubbock?

Gdyby nie wiedział, jak bardzo niezręczne zaczynało być dla niej wspólne mieszkanie z nim, pomyślałby, że w jej głosie słychać przerażenie.

- Jeszcze nie teraz - zaprzeczył. - Mam tu parę spraw do załatwienia.

- Och! - Zdziwiająco, jak wiele emocji może nieść za sobą tak niepozorny okrzyk. Tym razem nasycony był wyraźnym uczuciem ulgi. - Więc kiedy?

- Wkrótce. - Ich spojrzenia spotkały się i mógłby przysiąc, że to, co widzi w jej oczach, to panika.

- Nie rozumiem - zdołała wyszeptać, przełykając głośno ślinę. - O co tu chodzi, Joe?

Gdyby tylko mógł powiedzieć jej prawdę... Całą prawdę. Niestety. Celestian ostrzegał go wystarczającą ilość razy, by zapamiętał, że zdradzenie czegokolwiek, co wiązało się z tamtym światem, równałoby się z natychmiastowym odwołaniem go z powrotem.

- Czy mógłbym cię prosić o szklanekę zimnej wody? - odezwał się. - Spróbuję wyjaśnić ci chociaż część.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gdy weszli do kuchni, Joe przysiadł za stołem, a Mallory podała mu szklanekę z wodą. Sama sięgnęła po lemoniadę.

- O co chodzi? - zapytał, widząc, że unika jego wzroku. - Czy zrobiłem coś złego?

- Nie, skądże znowu - zaprzeczyła podniesionym tonem. - Wręcz przeciwnie. Ostatnimi czasy wszystko, co robisz, jest niemal perfekcyjne.

- Czy to źle?

- Oczywiście, że nie! Albo może tak? Sama już nie wiem!

Joe przyglądał się jej przez chwilę, po czym sięgnął po szklanekę i upił z niej kilka łyków. Jego jabłko Adama poruszało się w miarowym, jednostajnym rytmie.

Fascynujące, przeleciało jej przez głowę. Dziwne, dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyła, jak bardzo męskie i seksowne może być to zjawisko?

- Nieważne - wymruczała pod nosem, ruszając w stronę swojej sypialni.

Nie zamierzała pozwolić, by i tym razem jakaś głupia chemia i kilka nieokiełznanych emocji wzięło górę nad zdrowym rozsądkiem. Musiała za wszelką cenę stłumić je w zarodku.

Joe ruszył w ślad za nią.

- Usiądźmy i porozmawiajmy spokojnie - usłyszała za sobą jego miękki, ciepły głos. - Nie ma przecież problemu tak dużego, żebyśmy nie mogli go razem przedyskutować.

Rzeczywiście? Tak właśnie myślał? Ale jak miała wytłumaczyć mu to, że kiedy dzisiaj, po spotkaniu z Dorian, wróciła do domu, ten nagle wydał się jej pusty i obcy. Jakby brakowało w nim czegoś. Lub raczej kogoś. Nie trzeba było być Einsteinem, by domyślić się, o kogo chodzi.

I mimo że tak bardzo nie chciała się do tego przed sobą przyznać, tęskniła za nim. I nie mogła się doczekać chwili, kiedy wróci do domu.

Kłopot tylko w tym, że począwszy od dzisiaj, ten dom nie był już jego domem. Joe Mitchum zamierzał się wyprowadzić.

Ale czy nie tego właśnie pragnęła? Od ostatnich dwóch tygodni nie marzyła przecież o niczym innym. Skąd więc ten nagły żal? Pretensja? Rozczarowanie?

Usiadła na sofie. Joe przysiadł obok niej.

Odchrząknęła, ze wszystkich sił usiłując zachować zimną krew.

- Więc wyjeżdżasz? - zapytała, obrzucając go przelotnym spojrzeniem.

- Tak, Briny wyszukał coś dla mnie. - Joe uśmiechnął się, a kąciki jego oczu pokryły się siateczką drobniutkich zmarszczek.

- Ach tak... - powiedziała i sięgnęła po jedną z poduszek.

Musiała natychmiast zająć czymś swoje ręce, które, nie wiadomo czemu, wydawały się pragnąć tylko jednego - rzucić się w jego ramiona i szczelnym uściskiem opleść go całego. - Cieszę się, że wreszcie będziesz miał własny kąpiel.

To jedno przynajmniej było prawdą. Rzeczywiście cieszyła się jego szczęściem.

Może Dorian miała rację? Może ludzie potrafią się zmieniać tylko dlatego, że tego chcą? Że gorąco tego pragną?

A więc czego się obawiała?

- Mallory?

- Tak?

- Chciałbym podziękować ci za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. - Joe odwrócił się twarzą w jej stronę i chwycił w swoje ręce jej dłoń. - Gdyby nie ty, nie byłoby mnie tu dzisiaj.

- Wykonywałam tylko swoje obowiązki - odpowiedziała dziwnie speszona. Był o wiele za blisko. Czowała zapach mydła, jakiego użył do umycia rąk. Na całe szczęście, nie był to zapach róż.

- Nie mówię o tym - zaprzeczył, z powagą patrząc w jej oczy.

- Więc o czym?

- Gdyby nie ty - nie miałbym po co żyć.

- Joe...

- Nic nie mów. - Położył palce na jej ustach, tłumiąc słowa, które zamierzała wypowiedzieć. Przysunął się jeszcze bliżej. - Wiem, że popełniałem błędy. Nawet więcej, niż jeden człowiek mógłby popełnić w ciągu całego życia. Dzisiaj proszę cię o wybaczenie. Co się stało, już się nie odstanie. Zrobię jednak wszystko, by przyszłość wyglądała inaczej.

Mallory nie potrafiła wypowiedzieć nawet jednego słowa. Nie w chwili, kiedy jego delikatny dotyk budził w niej całą eksplozję emocji, począwszy od smutku i poczucia samotności, a skończywszy na dzikiej, trudnej do poskromienia żądzy.

Wciągnęła w płuca powietrze i właśnie wtedy znów to się stało. Sypialnię wypełniła upojna woń róż.

Nie, tylko nie to! - zdążyła jeszcze pomyśleć.

Nie minęła jednak chwila, a już tuliła się do niego całym ciałem, niezdolna, by próbować zapobiec temu, co i tak nieuniknione.

Uniosła powoli wzrok i napotkała wpatrzoną w nią parę brązowych oczu.

Jeśli to prawda, co mówią o oczach, pomyślała, i jeśli rzeczywiście są one zwierciadłem duszy, to nie powinna się niczego obawiać. Ze spojrzenia Joego była dobroć i mądrość. I coś jeszcze, coś, czego nie mogła lub nie chciała rozpoznać.

Miłość?

Wątpliwości prysły nagle jak zdmuchnięty płomień świecy.

Być z Joem - to najwspanialsza rzecz, jaka mogła się jej przydarzyć, a kochać go - to coś tak naturalnego jak oddychanie.

Mallory westchnęła cicho, w chwili gdy jego usta odnalazły drogę do jej warg. Niezależnie od wszystkiego była przecież tylko człowiekiem. Kobieta, której tak bardzo brakowało już siły, by walczyć ze swym przeznaczeniem.

Joe poczuł, jak Mallory poddaje się bezwolnie jego ruchom, jak przywiera do niego całym ciałem, jak oddaje mu pocałunek. Namietność i jakaś dzika, długo skrywana gwałtowność wypełniły ciasną przestrzeń pomiędzy nimi i stopiły ich w doskonałą jedność.

Tak długo czekał na ten moment... Teraz, gdy wreszcie nadszedł, palce Joego doskonale rozpoznały drogę do jej ciała.

Powolnym, choć pewnym ruchem rozpiął górne guziczki jej cienkiej, bawełnianej sukienki i delikatnie dotknął ramiączek stanika. Jęknęła cichutko.

To jedynie spotęgowało jego głód. Wiedział, że i ona pragnęła dokładnie tego samego. Była otwarta i wyczekująca.

Czy nie na to czekał od stu długich lat?

A zatem dobrze, zrobi to. I co dalej? Nawet jeśli Mallory pragnęła tego teraz równie silnie jak on, był to tylko chwilowy impuls. Dzisiejszej nocy posiadłby więc tylko i wyłącznie jej ciało. A on pragnął czegoś więcej. Pragnął zdobyć jej serce.

Nie mógł i nie chciał jej stracić. Nie teraz, gdy w czułych uściskach jej ramion i słodkich pocałunkach poznał, jak smakuje niebo.

Ze zdecydowaniem, na jakie nie zdobył się jeszcze chyba nigdy w życiu, odsunął ją od siebie na odległość wyciągniętych ramion i spojrzał uważnie w jej oczy.

- Joe?

- Tak?

- Czy zamierzasz teraz przestać?

- Tak - odpowiedział wbrew sobie.

- Dlaczego? Czy możesz podać mi chociaż jeden powód?

Powód? Było ich tysiące. Niezależnie od tego, jak bardzo jej pragnął, nie mógł powiedzieć jej prawdy. Zresztą, gdyby nawet, lekceważąc ostrzeżenia Celestiana, zdobył się na to, i tak by mu nie uwierzyła.

- Nie chcę twojego ciała, nie posiadając klucza do twojego serca.

Przytuliła twarz do jego nagiej piersi i nie mówiąc ani słowa, trwała tak przez chwilę.

Kiedy w końcu uniosła leniwie głowę, było zbyt ciemno, by mógł dostrzec wyraz jej oczu.

Odezwała się, a jej głos drżał.

- Naprawdę tego właśnie chcesz?

- Tak - potwierdził w skupieniu. - Nie zamierzam obierać drogi na skróty i po prostu powiedzieć, że cię kocham. Zamierzam ci tego dowieść czynami.

Przygotowania do przeprowadzki zajęły Joemu następne trzy tygodnie. W tym czasie mijali się z Mallory jedynie w drzwiach i nie mieli zbyt dużo okazji, by porozmawiać.

Mallory, przerażona tempem, jakiego nabrały wydarzenia, wołała schronić się w bezpiecznej kryjówce swego gabinetu, na nowo z zapalem oddając się swym lekarskim obowiązkom.

Zgodnie z obietnicą Joe zajął się trawnikiem wokół przychodni, kosząc go i pielęgnując niemal codziennie.

Gdy nadszedł dzień przeprowadzki, z własnej inicjatywy wyszukał nowe domy dla czwórki z całej hordy swoich psów, zostawiając sobie jedynie najmniejszego z nich - białego, spokojnego kundelka. Nazwał go dość niespotykanym imieniem - Celestian.

Mallory dyskretnie przyglądała się wszystkiemu, co robił, doskonale wiedząc, co takiego próbuje udowodnić. I komu...

Wreszcie nadszedł dzień, w którym została sama. Sama ze sobą i ze swoimi myślami.

Nie była jeszcze gotowa, by przyznać, że go kocha, ale przed jednym już się nie broniła - tak, w przyszłości mogłaby go pokochać.

I chociaż przez całe swoje życie była raczej typem samotnika, Joe Mitchum uświadomił jej, jak bardzo pragnęła odmiany.

- Joe, jest mi bardzo przykro, ale nie mogę przyjąć twojej kandydatury na stanowisko nowego szeryfa. - Kobieta za kontuarem rzeczywiście wyglądała na zmartwioną. - Nie posiadasz przecież dyplomu ukończenia szkoły średniej. Chodziliśmy do jednej klasy i pamiętam, jak zrezygnowałeś ze szkoły w połowie nauki.

- Ach tak... - przytaknął zgaszonym głosem. Nie mógł przecież wyjaśnić jej, że nie potrzebuje żadnego dyplomu, by móc pełnić funkcję szeryfa, a swój profesjonalizm czerpie z doświadczeń. - Czy jest coś, co mógłbym jeszcze zrobić?

- Musiałbyś zdać egzamin państwowy - odpowiedziała dziewczyna. - Wtedy nie byłoby problemu. Ale musiałbyś się pospieszyć, bo przyjmowanie zgłoszeń kończy się z początkiem lipca.

A więc wciąż była jeszcze jakaś nadzieja! Zrobi wszystko, cokolwiek będzie trzeba, by spełnić swoje marzenia i udowodnić Mallory, że jest godny jej miłości.

- W takim razie jeszcze się tu pojawię - zapowiedział i skłoniwszy głowę na pożegnanie, wyszedł.

Utrzymanie porządku w mieście wydawało się mu dzisiaj o wiele łatwiejsze niż za jego czasów. Teraz nikt nie jeździł już konno. Współczesny szeryf miał do dyspozycji specjalnie oznakowany samochód, wyposażony w sygnalizację świetlną i dźwiękową, biuro i cały sztab ludzi do pomocy.

Bycie stróżem prawa to jedyne, na czym tak naprawdę się znał. I jedyne, co chciałby w życiu robić. To doprawdy ironia losu, że akurat ta właśnie dziedzina okazała się dla niego niedostępna.

Marzenia są po to, by je realizować, powtarzał sobie w myślach po drodze do domu.

Gdy otworzył bramę, by zaparkować samochód, Celestian natychmiast znalazł się przy nim, wesoło merdając ogonem.

- Dobry piesek. - Joe pogładził psa po białej sierści. Jeden pies rzeczywiście może być przyjacielem człowieka. Ale pięć... Pięć oznacza jedynie hałas i bałagan.

Zwierzę odprowadziło go do domu.

Joe wszedł do środka, by napić się wody, kiedy rozległo się nieoczekiwane pukanie do drzwi.

Otworzył i ujrzał wysoką, zgrabną brunetkę w dżinsowej spódnicy i podkoszulku. Kobieta skinęła lekko głową. Za nią, skrywając się lękliwie, stała najwyżej kilkuletnia dziewczynka i przyglądała się mu z zaciekawieniem.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zapytał zdziwiony.

- Cóż, to byłby chyba pierwszy raz... - odpowiedziała kobieta i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. - Miłe miejsce.

- Dziękuję. - Jak przypuszczał, kobieta była zapewne jedną z dawnych przyjaciółek Joego. Chociaż musiał przyznać, nie wyglądała jak inne.

- Czy mógłbyś wyjaśnić mi, co tu jest grane? - zapytała, niczym niezbita z tropu, wciskając wyciągnięty palec w jego pierś.

- Nie rozumiem.

Wytrzymał na sobie jej piorunujące spojrzenie.

- Jak się czujesz?

- Dziękuję, teraz już dobrze.

- Żadnych trwałych uszkodzeń po spotkaniu z piorunem?

- O ile mi wiadomo, nie.

- To dobrze, ponieważ zamierzam cię zabić.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę - spróbował ostudzić nieco gniew rozjuszonej kobiety.

Mógł sobie wyobrazić, jak bardzo dawny Joe musiał jej zająć za skórę.

- Nieźle sobie to wszystko wymyśliłeś - kontynuowała tymczasem brunetka. -

Mogę spytać, dlaczego nie raczyłeś nawet zadzwonić?

- Nie mam telefonu - oświadczył. Poza tym, nie miał też najmniejszego pojęcia, z kim rozmawia.

- Posłuchaj uważnie, Joe, bo mam ci coś do powiedzenia. - Kobieta wyglądała na naprawdę zdesperowaną. - Nigdy niczego od ciebie nie chciałam. Nie kontaktowałam się z tobą od czasu, kiedy się rozstaliśmy. Jednak to nie znaczy, że nie jesteś nic winien Chloe.

Chloe... Rozpoznał to imię dokładnie w chwili, kiedy uświadomił sobie, do kogo podobne jest stojące za plecami matki dziecko.

- Do diabła, Joe! - wykrzyknęła jego była żona, Branda. - Kiedy wreszcie zaczniesz być dla niej prawdziwym ojcem?

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nie stój tak! - Branda najwyraźniej traciła cierpliwość. - Powiedz coś wreszcie! Jakby próbując uzyskać choćby minimum dystansu do tej kompletnie nieoczekiwanej sytuacji, zrobił krok w tył. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się swej byłej żonie i swemu dziecku na nowo.

Co takiego miał im powiedzieć? Że bycie mężem i ojcem to dla niego całkowita abstrakcja? Że nie był jeszcze gotów do pełnienia takich ról? Przynajmniej nie w tej chwili?

Nie zdziwiło go, że dawny Joe nie sprawdził się również i w tej sytuacji i rozczarował swoich najbliższych. Do tego zdążył się już przyzwycząić.

Co innego jednak popełnić kilka, najgłupszych nawet błędów, a co innego zawieść taką niewinną, słodką istotkę, jaką była Chloe.

- Przykro mi... - odezwał się zdławionym głosem. - Szczególnie z powodu Chloe.

Branda spojrzała na niego w kompletnym zdumieniu.

- Jest mi naprawdę przykro, że nie byłem dla niej dobrym ojcem - ciągnął dalej.

- Świetnie - podsumowała jego tłumaczenia była żona. - W takim razie ustaliliśmy przynajmniej jedną rzecz, co do której w dodatku się zgadzamy. Muszę jednak przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Byłam przygotowana na wojnę, a tymczasem... Co się stało?

- Trudno przecież dyskutować z prawdą.

Branda ponownie obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

- Coś takiego! - roześmiała się gorzko.

- Na szczęście nie wszystko jeszcze stracone.

- Naprawdę tak myślisz? - zapytała, coraz bardziej zdezorientowana.

- Oczywiście - potwierdził. Choćby miało mu to zająć resztę życia, był gotów zrobić wszystko, by na nowo odzyskać zaufanie i szacunek tej małej, kruchej istotki, jaką była Chloe. Jej i jej matki.

- Do diabła, Joe! - Na policzkach Brandy pojawiły się łzy. Starła je ruchem ręki. - Po tym wszystkim, co mi wcześniej zafundowałeś, zaufanie twojemu słowu oznaczałoby chyba czyste szaleństwo!

- Nie - zaprzeczył najdelikatniej, jak potrafił. - To by znaczyło jedynie, że jesteś wspaniałą, szlachetną, umiejącą przebaczać kobietą. I najlepszą matką, jaką mogłaby mieć... nasza córka.

Branda przez dłuższą chwilę przyglądała mu się bez słowa, jakby nadal nie mogła uwierzyć, że wszystko, co usłyszała, nie było jedynie wytworem jej imaginacji.

Gdy odezwała się ponownie, jej głos drżał od nadmiaru nagromadzonych emocji.

- Naprawdę się zmieniłeś, Joe - przyznała cicho. - Słyszałam, jak ludzie o tym opowiadali, ale nie chciałam wierzyć. Jednak to miejsce, ty sam, sposób w jaki mówisz... Nie sposób tego nie zauważyć.

- To dobrze. Bo to prawda. - Joe mówił cicho i łagodnie, w sposób, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszała.

- Zresztą, nie chodzi o mnie - odezwała się. - Poradzę sobie i tym razem. Ale nie potrafię nawet zliczyć tych wszystkich razów, kiedy rozczarowałeś Chloe. Nie chciałabym, żeby musiała przechodzić przez to wszystko ponownie.

- Nawet nie mógłbym cię winić, gdybyś nie potrafiła odnaleźć w swym sercu choćby odrobiny przebaczenia - odpowiedział. - Ale, proszę, spróbuj...

- Dobrze, spróbuję - Branda zgodziła się nieoczekiwanie. - Ale pamiętaj, czyny przekonują o wiele bardziej niż słowa.

- To prawda - przyznał Joe. - A ja nie zamierzam poprzestać jedynie na słowach. Przekonasz się, że mówię prawdę.

- To świetnie. - Branda wciągnęła głęboko powietrze, jakby szykując się do skoku na głęboką wodę.

- Teraz o wiele łatwiej będzie mi przedstawić ci to, z czym przyszłam.

- A mianowicie? - zapytał ostrożnie. Mógł mieć tylko nadzieję, że nie chodziło o nic, co wiązałoby się z ich wspólnym życiem. Branda wydawała się być naprawdę miłą osobą i nie zamierzał jej zranić.

- Chciałabym, żebyś zaopiekował się Chloe - wyrzuciła z siebie jednym tchem. - Nigdy wcześniej o nic cię nie prosiłam. Nie wymagałam regularnych odwiedzin ani spędzania z nią części wakacji, jak to orzekł w dniu rozvodu sąd. Zresztą, nigdy nie miałeś do tego warunków. Jednak to miejsce... Jestem pewna, że nasza córka będzie tu szczęśliwa.

Joe przełknął ślinę. Musiał się chyba przestyszeć! Albo źle zrozumiał!

Uświadamiając sobie jednak, że wszystko, co powiedziała Branda, musiało być prawdą, z minuty na minutę wpadał w coraz większą panikę.

Nie mógł, nie potrafił zająć się Chloe! Nigdy wcześniej nie miał do czynienia z dziećmi, a szczególnie już z tak drobnymi i kruchymi istotkami jak ta dziewczynka!

- Nie mogę tego zrobić - wyjąkał.

Branda zmrużyła oczy, a kiedy się odezwała, w jej głosie słychać było ból.

- Tak jak powiedziałam, nigdy wcześniej o nic cię nie prosiłam - powtórzyła. - Teraz jednak sytuacja jest wyjątkowa. Rozpoczęłam naukę w szkole wieczorowej, bo pragnę podnieść swoje kwalifikacje i postarać się znaleźć jakąś dobrą pracę. Wszystko po to, by zapewnić naszej córce lepszą przyszłość. Jednak chyba rozumiesz, że potrzebuję czasu na naukę i chociaż odrobiny spokoju, a najbliższe egzaminy rozpoczynają się pod koniec czerwca.

Joe milczał, więc patrząc na niego błagalnie, dodała:

- Wszystko, o co proszę, to miesiąc.

- Co takiego?! - wykrzyknął. Naprawdę oczekiwała, że mógłby zająć się dziewczynką przez cały miesiąc?! Czy nie wiedziała, że nie miał do tego najmniejszego przygotowania?!

- Jestem pewna, że dacie sobie radę - odpowiedziała Branda, jakby czytając w jego myślach. - Zobaczysz, Chloe to wspaniała dziewczynka!

- Z pewnością, ale...

- Przygotuję ci kartkę z jej rozkładem dnia, ze wszystkim, co lubi jeść, w co lubi się bawić, jakich książeczek lubi słuchać na dobranoc - przerwała mu. - Jednak w żadnym wypadku nie musisz trzymać się tego kurczowo. Dzieci potrafią być bardzo elastyczne, lubią zmiany.

- Branda, zaczekaj, czy możemy o tym najpierw porozmawiać?

- Nie, nie możemy. - Energicznie potrząsnęła głową. - Gadanie było zawsze twoją najmocniejszą stroną. Ale tym razem nie dam się na to złapać. Poza tym, czy to nie ty nie dalej niż pięć minut temu deklarowałeś gotowość czynu? Właśnie nadarza się odpowiednia okazja.

- Kiedy chcesz ją tu przyprowadzić? - zapytał zrezygnowanym głosem.

- Ależ skarbie! - Branda roześmiała się z udawaną wesołością. - Przecież ona już tu jest. Jej rzeczy są w samochodzie. Chloe, kochanie!

Dziewczynka spojrzała na matkę z ufnością.

- Pamiętasz, jak mówiłam ci, że tatuś bardzo za tobą tęskni? - Branda Ukucnęła przy córce i oparła ręce na jej ramionkach. - Więc od dzisiaj zamieszkacie razem. Tylko na trochę.

- On nie jest moim tatą. - Dziewczynka spojrzała podejrzliwie na Joego.

- No widzisz, Joe - zaśmiała się Branda. - Zmieniłeś się tak bardzo, że twoje własne dziecko cię nie rozpoznaje! No dalej, kochanie, przywitaj się z tatusiem, a ja w tym czasie przyniosę twoje rzeczy.

Joe odchrząknął. A więc naprawdę miał dziecko. Chodzącą i myślącą istotę z potrzebami i zachciankami, których prawdopodobnie nie będzie potrafił spełnić. Kruchą dziecinę, od tej pory zależną całkowicie od niego. Dziewczynkę, której uczucia tak łatwo zranić i której zaufanie tak ciężko odzyskać.

- A zatem to naprawdę ty, Chloe - odezwał się w końcu.

Dziecko uniosło ku niemu twarzyczkę ze słodko zadartym noskiem i ciemnymi, owalnie wykrojonymi oczkami.

- Tak, ja - potwierdziło. - A ty, kim jesteś?

- Ja? - powtórzył, zbity z tropu jej nieoczekiwanym pytaniem. - Jestem twoim...
tata.

- Nieee - Chloe przeciągnęła sylabę.

Niepewnie przestąpił z nogi na nogę. Czy to możliwe, że udało mu się przekonać wszystkich prócz małej, niewinnej dziewczynki? Nowy, odmieniony Joe zdemaszkowany przez nad wiek rozwiniętą, trzyletnią sceptyczkę. A to dopiero! Może dzieci potrafią po prostu posługiwać się swoją intuicją? Czymś, o czym dorośli od dawna już zapomnieli?

- Czy jesteś miły? - badała tymczasem Chloe.

- Oczywiście, że tatuś jest miły! - Oboje usłyszeli głos Brandy, która taszcząc w obu rękach bagaże, wchodziła właśnie do domu. - I kocha cię równie mocno jak mama. Bardzo się starał, by przygotować dla ciebie swój nowy dom. Tak, żebyś mogła przyjechać i pomieszkać tu z nim przez jakiś czas. Jestem pewna, że spędzicie razem cudowne chwile.

- Dobrze - pokiwało główką dziecko.

- Mam nadzieję, że zajmiesz się nią tak, jak na to zasługuje. - Tym razem Branda zwróciła się w jego stronę. - Możesz nie mieć kolejnej szansy, Joe, więc cokolwiek zrobisz, pamiętaj o tym.

I nie mówiąc już więcej ani słowa, ucałowała córeczkę, a potem, nie oglądając się za siebie, znikła za drzwiami.

Mallory jechała do nowego domu Joego. Tak jak obiecała to Brandzie Mitchum, zamierzała sprawdzić, czy małej Chloe nie brakuje czegoś pod opieką ojca.

Zaparkowała przed domem i wysiadła z auta. Mały, sympatyczny kundelek przywitał ją radosnym szczekaniem i odprowadził, tańcząc wokół jej nóg, aż pod dom.

Zaniepokojony hałasami Joe, wystawił głowę przez uchylone drzwi.

- Mallory! - zawołał z nieskrywaną radością. - Jak miło cię widzieć!

- Witaj, Joe - odpowiedziała, zastanawiając się równocześnie, jak to możliwe, że wyglądał jeszcze lepiej, niż to zapamiętała. Opalił się, pod cienkim materiałem podkoszulka wyraźnie rysowały się napięte mięśnie, a migoczące w lekko falujących włosach słońce dodawało mu dziwnego uroku.

- Dawno nas pani nie odwiedzała, pani doktor!

- Praca - wyjaśniła lakonicznie.

- Zapraszam do środka. - Przesunął się, robiąc jej miejsce w drzwiach.

Pierwszą rzeczą, na jaką zwróciła uwagę, to zapach pieczonego mięsa, jaki rozchodził się po niewielkich rozmiarów kuchni. Po chwili dostrzegła siedzącą na podłodze Chloe, kompletnie pochłoniętą zabawą.

- Witaj, Chloe - odezwała się do dziecka. - Widzę, że świetnie się bawisz.

- Dzień dobry, doktor Peterson. - Dziewczynka uniosła głowę. W ręku trzymała niedużą, plastikową krówkę. Nieopodal leżała reszta zwierzątek. - Joe pomógł mi zbudować farmę.

- Joe? - powtórzyła Mallory, przenosząc na niego zdziwione spojrzenie.

- Nie chce nazywać mnie swoim ojcem - wyjaśnił, jakby odrobinę speszony.

- Rozumiem. Może z czasem... - pokiwała głową. - Gdybyś chciał coś załatwić w mieście i potrzebował opiekunki na parę godzin, daj mi znać. Postaram się coś wymyślić.

- Dzięki.

- Chce pani zobaczyć mój nowy pokój? - odezwała się dźwięcznym głosem Chloe.

- Jasne!

Dziewczynka chwyciła ją za rękę i poprowadziła do sypialni, którą przygotował dla niej Joe.

Mallory uśmiechnęła się. „Oswojenie” nowego terytorium nie zajęło Chloe zbyt wiele czasu. Wszędzie stały zabawki i pluszaki, które przywiozła ze sobą z domu, a na stoliku obok łóżka leżały równiutko poukładane książeczki.

- Widzę, że zadomowiłaś się już u taty.

- Joe nie jest moim tatą - powtórzyła dziewczynka.

- Jest miły, ale nie jest moim tatą. Czy zje pani z nami kolację? Joe piecze kurczaka!

- Wystarczy dla nas trojga, więc jeśli tylko miałabyś ochotę... - od strony kuchni dobiegło ją wołanie Joego.

- Dzięki, ale nie mogę! - odkrzyknęła.

Od czasu ostatniej nocy, kiedy to omal nie przekroczyli wspólnie cienkiej, niewidzialnej granicy, starała się unikać kontaktów z Joem jak ognia. I gdyby nie obietnica złożona Brandzie z pewnością nie byłoby jej tutaj.

Joe zapowiedział co prawda, że zamierza przełamać wszelkie stereotypy na temat swojego dawnego wizerunku, jednak jeśli nie będzie wystarczająco ostrożna, jedyną złamaną rzeczą będzie jej serce.

- Nie możesz, czy może raczej obawiasz się zostać? - Głowa Joego nieoczekiwanie pojawiła się w drzwiach sypialni.

- A powinnam się bać?

- Oczywiście, że nie. - Roześmiał się. - Ani ja, ani Chloe nie gryziemy, prawda, skarbie?

Dziewczynka energicznie potrząsnęła głową.

- Niech pani z nami zostanie, doktor Peterson! - wykrzyknęła błagalnie. - Proszę! Jak mogła się nie zgodzić?

- A więc dobrze. - Skinęła głową. - Z największą przyjemnością zjem z tobą kolację, mała księżniczko.

Po posiłku, sutym i smacznym, pozwoliła sobie na to, by zostać z Joem i jego córeczką jeszcze jedną chwilę dłużej, niż to początkowo zamierzała.

Pławiła się w ciepłe i serdeczności, jaką promieniował ten dom, i nie miała najmniejszej ochoty, by wracać do swojego - pustego i po odejściu Joego jakoś dziwnie smutnego.

Zaproszona do rytualnego odczytania bajki na dobranoc, przysiadła w nogach łóżka Chloe.

- A teraz buziak na sen - poprosiła dziewczynka, kiedy Joe, skończywszy czytać, zamknął książkę.

- Racja - przyznał, pochylając się nad małą.

- Dobranoc, doktor Peterson! Dobranoc, Joe!

- Śpij smacznie, Chloe! - Delikatnie pogładził dziewczynkę po głowie i zamknął drzwi od sypialni dziecka.

Mallory ukradkiem wytarła łzy, gromadzące się już od dłuższego czasu pod powiekami. Być może Joe w przeszłości rzeczywiście nie zasłużył sobie na miano ojca, jednak, była tego pewna, w krótkim czasie nadrobi zaległości.

Kiedy ponownie zasiedli przy kuchennym stole, Joe milczał, jakby zajęty własnymi myślami.

Dopiero po chwili ponownie usłyszała jego głos.

- Jak sądzisz, czy poradziłbym sobie z egzaminem państwowym? Chciałbym dostać dyplom ukończenia szkoły średniej.

Słuchała, nie przerywając mu.

- Może to cię zdziwi, ale zamierzam ubiegać się o stanowisko szeryfa w najbliższych wyborach. A bez dyplomu szkoły średniej nie będzie to możliwe. - Zamilkł na chwilę. - Czy sądzisz, że mam jakiegokolwiek szanse?

To, co mówił, zabrzmiało jakoś dziwnie znajomo. Obraz pewnej młodej, ambitnej dziewczyny, równie słabo wierzącej kiedyś w swoje siły, stanął nagle przed jej oczami, wywołany odległymi, mglistymi już dziś wspomnieniami. Tą dziewczyną była ona sama.

I tak jak wtedy życzliwi ludzie nie pozwolili jej poddać się i zwątpić w siebie, tak i ona nie pozwoli, by teraz zrobił to Joe. Miała w końcu do spłacenia wobec nich pewien dług.

- Nie ma sytuacji, w której marzenia byłyby czymś nie na miejscu - odezwała się. - A szanse na to, by je urzeczywistnić, zależą tylko i wyłącznie od nas samych. Powiem ci coś. Jeśli będziesz potrzebował wolnych wieczorów, by się uczyć, z przyjemnością zostanę z Chloe.

- Zrobiłabyś to?

- Oczywiście. W końcu od czego ma się przyjaciół?

Zrobiłaby jeszcze więcej, by mu pomóc. Joe udowodnił już wystarczająco, że nie boi się ciężkiej pracy ani odpowiedzialności. Może wszystko, czego teraz potrzebował, to ktoś, z kim mógłby dzielić się swoimi marzeniami?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Joe następnego dnia, było zapisanie się na egzamin państwowy z wiedzy na poziomie szkoły średniej, jaki miał się odbyć pod koniec czerwca. Jeśli więc dzięki ciężkiej pracy i odrobinie szczęścia udało mu się zdać w terminie, stanowisko szeryfa nie było wcale nieosiągalne.

Tak szybko, jak mógł, zaopatrzył się w odpowiednie książki i jeszcze tego samego wieczora poprosił Mallory o pomoc przy Chloe. Chętnie zgodziła się dotrzymać obietnicy.

Teraz każdy kolejny wieczór wyglądał niemal identycznie - Mallory zajmowała się Chloe, a on uczył się przy stoliku w kuchni. Później, kiedy mała zasypiała już w swoim łóżeczku, oboje spędzali jeszcze jakiś czas na studiowaniu co trudniejszych zagadnień.

Wiedza Mallory okazywała się bardzo pomocna, a z tego, co mówiła, i on był dość pojętym uczniem. I tylko czasami, kiedy wciągał głęboko powietrze, chwytając w nozdrza zapach jej pachnących wiatrem włosów lub kiedy pochyleni nad książką nieoczekiwanie stykali się ze sobą ramionami, emocje brały górę nad rozsądkiem. Jedyne, o czym potrafił wtedy myśleć, to dotyk jej miękkiej, jedwabistej skóry pod palcami i to, jak doskonale mieściła się w łuku jego ramion.

Niemal wszyscy w mieście wiedzieli już o jego egzaminie i o tym, że w najbliższych wyborach zamierza ubiegać się o stanowisko szeryfa. W tak małym miasteczku wieści rozchodziły się nadzwyczaj szybko. Przynajmniej pod tym względem Slapdown nie zmieniło się zbyt wiele od czasów, które pamiętał.

Co ciekawe, niemal wszyscy, z którymi się spotykał, zapewniali go o swojej życzliwości i o tym, że oddadzą na niego swój głos.

Tak więc o wiele szybciej, niż się tego spodziewał, zdołał odmienić wizerunek starego Joego i przekonać wszystkich, że stał się zupełnie innym człowiekiem. Wszystkich, ale czy również Mallory?

W ciągu tych kilku tygodni jego relacje z Chloe nabrały zupełnie niespodziewanego wymiaru. Mała istotka stała mu się tak bliska, że wprost nie wyobrażał sobie, że kiedykolwiek mógłby się z nią rozstać. Owszem, dawny Joe popełnił w życiu rzeczywiście dużo błędów, lecz Chloe z pewnością do nich nie należała. Był pewien, że dziewczynka pokochała go równie mocno jak on ją. Nadal co prawda zwracała się do niego po imieniu, nie pytała już jednak o to, kim jest. Mógł

mieć tylko nadzieję, że z czasem zasłuży sobie na to, że nazwie go swoim ojcem.

Tymczasem cieszył się tym, co miał.

Im dłużej Mallory przyglądała się temu, co robi Joe, tym większej nabierała pewności, że rzeczywiście postanowił gruntownie zmienić swoje życie. Rozsądnie i metodycznie dążył krok po kroku do osiągnięcia kolejnych zamierzonych celów. Chwilowe trudności nie tylko nie zwracały go z raz obranej drogi, a wręcz przeciwnie - dodawały mu sił i wiary, że w końcu osiągnie to, co zaplanował.

Tak bardzo przypominał jej ją samą - jej ambicję i determinację. Z czasem zaczynała dochodzić do wniosku, że może oboje nie różnią się od siebie aż tak bardzo, jak kiedyś sądziła.

Patrząc na niego, nieraz łapała się na tym, że jest naprawdę dumna z tego, co osiągnął i z tego, co dopiero zamierzał osiągnąć.

Jednak jej serce napełniało się szczególną tkliwością zawsze, ilekroć przyglądała się jego relacjom z Chloe. Być może w przeszłości Joe rzeczywiście nie dorósł do bycia ojcem, teraz jednak zdawał swój egzamin na piątkę.

W czasie długich wspólnych wieczorów niejednokrotnie zdarzało im się przerywać na chwilę wspólną naukę i rozmawiać na tematy, najogólniej mówiąc, pozaprogramowe. Mallory szczególnie chętnie wypytywała go wtedy o jego przeszłość - o rodziców, wspomnienia z dzieciństwa, kolegów z czasów szkolnych. Ale Joe nie lubił o tym mówić, tłumacząc zawsze, że odgrzebywanie starych wspomnień jest dla niego bolesnym przeżyciem.

Nie nalegała, choć naprawdę wiele dałaby, by dowiedzieć się, co skłoniło go do obrania złej drogi i kroczenia nią tak długo. Być może w ten sposób poznałaby również tajemnicę jego obecnej przemiany i powody, dla których nagle postanowił wrócić na właściwą ścieżkę?

Pewnego popołudnia, kiedy, jak już niemal codziennie, ponownie odwiedziła Joego w jego nowym domu, Chloe przywitała ją radosnym okrzykiem.

- Doktor Peterson! - wołała już od progu. - Proszę przyjść i zobaczyć, co Joe dla mnie zrobił!

Kiedy podeszła bliżej, dziewczynka chwyciła ją za rękę i niezwykle poruszona, poprowadziła w kierunku wysokiego drzewa rosnącego na skraju działki. Joe już tam na nie czekał.

- Co takiego, Chloe? - zapytała Mallory, ściskając w swej dłoni malutką rączkę.

- To! - Dziecko z dumą wskazało zawieszoną na długich, mocnych linach huśtawkę.

- Gotowa? - zapytał Joe, zwracając się do Chloe. Dziewczynka z zapalem skinęła głową. - Więc siadaj!

Pomógł jej zająć miejsce na szerokiej, gładko wyszlifowanej deseczce i poinstruował, jak powinna trzymać się lin. Następnie uniósł huśtawkę lekko w górę i spokojnym, łagodnym ruchem opuścił w dół. Szczęśliwa Chloe roześmiała się wesoło.

- Nareszcie wiem, co robisz, kiedy się nie uczysz.

- Mallory roześmiała się również.

- To wszystko wina Chloe - odpowiedział z udawanym oburzeniem Joe. - Wózek dla lalek, który zrobiłem jej w zeszłym tygodniu, przestał się jej już podobać. Musiałem więc wymyślić coś nowego.

- To nieprawda! - zaprzeczyła żywo dziewczynka.

- Wózek podoba mi się nadal. Ale teraz huśtawka podoba mi się o wiele bardziej! W odpowiedzi Joe potargał serdecznym ruchem jej jasną czuprynkę.

- Mam do ciebie prośbę, Mallory - odezwał się ponownie po dłuższej chwili. - Przygotowałem wczoraj jedną z wymaganych prac i chciałbym, żebyś ją sprawdziła

- Oczywiście - zgodziła się chętnie. - Kiedy tylko sobie życzysz.

Postali jeszcze chwilę pod drzewem, obserwując, jak Chloe podskakuje raz w górę, raz w dół, szczęśliwa i beztraska jak nigdy.

Serce Mallory ścisnęło prawdziwe wzruszenie, kiedy zdała sobie sprawę, że Joe dołożył wszelkich starań, by jego córka wyglądała czysto i schludnie. Jej różowa sukieneczka doskonale harmonizowała z różowymi skarpetkami na nóżkach, włosy były równiutko uczesane w dwa urocze kucyki, a na każdym z buczków sterczała zawiązana misternie kokardka.

Później, w domu, Mallory obserwowała, jak Joe, przygotowując dla córki kolację, troskliwie smaruje masłem kromkę chleba, nakłada plasterek wędliny i kroi kanapkę na mniejsze, równiutkie kawałeczki, bo Chloe lubiła jeść kanapki w takiej właśnie postaci.

Tuż przed snem znalazł jeszcze dość czasu i ochoty, by kilkakrotnie opowiedzieć dziewczynce jej ulubioną bajkę, ponieważ go o to poprosiła.

Co więcej, przed paroma dniami zaprowadził Celestiana do weterynarza i zrobił mu porządną kąpiel. A wszystko dlatego, że Chloe marzyła, by pies mógł spać z nią w jednym łóżku.

Nie było najmniejszych wątpliwości co do tego, że dziewczynka okręciła sobie ojca wokół palca. A Mallory nie mogła oprzeć się wrażeniu, że burza, która rozszalała

się nad Slapdown tamtego dnia, wraz ze swym pamiętnym piorunem, zesłała również Chloe specjalny podarunek - ojca.

Czasami tylko nachodziła ją myśl, że i ona coś wtedy zyskała. Aż strach pomyśleć, co by było, gdyby we właściwym momencie nie znalazła się w odpowiednim miejscu - na świecie byłoby o jednego wspaniałego człowieka mniej. A ona sama być może nigdy nie dowiedziałyby się, co znaczy... kochać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Termin egzaminu zbliżał się nieuchronnie, jednak ani w sposobie mówienia, ani w zachowaniu Joego nie wyczuwało się zdenerwowania czy jakiegoś specjalnego podniecenia. Był jak zawsze opanowany i spokojny, a jedyną zauważalną zmianą było to, że teraz spędzał nad książkami już nie długie wieczory, lecz niemal całe noce.

- Wierzę, że ci się powiedzie, Joe - powiedziała któregoś razu Mallory. - Wierzę w ciebie.

Spojrzał na nią poważnie, jakby jej słowa były dla niego wszystkim.

- Nawet nie masz pojęcia, jakie to dla mnie ważne - odezwał się w końcu. - Twoja wiara i twoja pewność.

- Najważniejsze, żebyś i ty uwierzył. Tylko to się liczy - zapewniła go. - Przecież nie robisz tego wszystkiego dla mnie.

- Wszystko, co robię, robię dla ciebie.

- Nawet tak nie mów! - Speszona Mallory spuściła głowę. Nie była jeszcze gotowa na takie wyznania.

- Kiedy to prawda. Ty jesteś powodem, dla którego żyję. Jedyne powodem, dla którego jestem na tym świecie. - W jego głosie słychać było głęboki smutek, gdy po chwili dodał: - Dlaczego nie chcesz dać nam szansy, Mallory! Dlaczego nie wierzysz w nas?

- Joe, proszę...

Chwycił jej twarz w obie dłonie i zwrócił w swoją stronę. Zanim jeszcze zdążył uczynić cokolwiek, poczuła, jak powietrze wokół nich nasyca się powoli upojną wonią róż. Wciągnęła głęboko ten zapach.

Tak bardzo tęskniła już za tym doznaniem! Za różami z bukietu, który nigdy przecież nie istniał. I za pocałunkami Joego...

Jakby czytając w jej myślach, pochylił się nad nią i z delikatnością, jakiej nigdy dotąd od nikogo nie doznała, pocałował ją.

Przymknęła powieki, bezwolnie poddając się jego ruchom.

Róże... Tym razem wrażenie było tak silne, że wydawało się jej, iż wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć miękkich, aksamitnych kwiatów zebranych w ogromny, staromodny bukiet żółtych róż.

Z każdą kolejną pieszczotą jego delikatnych warg, jakaś rozmyta dotąd wizja nabierała w jej głowie coraz wyraźniejszych kształtów. Czy to marzenie? Czy może raczej jakieś odległe wspomnienie? Nie potrafiła tego nazwać. Nie potrafiła nawet oddychać!

Obrazy przewijały się pod jej przymkniętymi powiekami jeden za drugim, jak szalone.

Bukiet róż, klęczący przed nią mężczyzna... Wyciągnięta w jej kierunku dłoń...

Przywidzenie stało się nagle tak realne, jakby wszystko to działo się naprawdę. Tu i teraz. Niemal poczuła na swym palcu dotyk chłodnego, żółtego metalu. Dotyk pierścionka, który ktoś wsuwał na jej palec.

Działo się z nią coś niedobrego. Zmęczenie i stres? Czy może raczej ogromna tęsknota? Za czymś, co przecież nigdy, przenigdy nie miało miejsca.

Gwałtownie otworzyła oczy i przerywając pocałunek, odsunęła się od Joego. Jak to możliwe, że znowu wszystko zaczęło wymykać się jej spod kontroli?

- O co tu chodzi? - spytała niespokojnie, próbując opanować gwałtowny oddech i przyspieszone bicie serca.

- Całuję swoją przyjaciółkę na dobranoc - uśmiechnął się Joe. - Czy to coś złego?

Nie chcąc ryzykować kolejnych zawrotów głowy i niebezpiecznych drżeń serca, odwróciła się od niego, zajmując miejsce za stołem.

- Powiedz mi, co wiesz na temat róż - poprosiła, siląc się na obojętność.

Na jeden krótki moment w jego oczach pojawił się jakiś dziwny, zagadkowy blask, jednak zanim zdążyła go rozpoznać, znikł.

- Tego pytania raczej nie będzie w teście - zażartował.

- Pytam poważnie, Joe.

- Piękne kwiaty. Przyjemny zapach. Ostre kolce - wyliczył. - Co jeszcze chcesz wiedzieć?

- A... żółte róże?

- Żółte róże Teksasu... Chyba była taka piosenka.

- Przestań! Nie pytam o piosenkę. - Spojrzała na niego poważnie. - Dziwne rzeczy dzieją się ze mną zawsze, ilekroć mnie całujesz.

- Dziwne w dobry, czy w zły sposób?

- Nie wiem. Po prostu dziwne. Zupełnie jakbym znalazła się nagle w innym miejscu i czasie. Czy potrafisz mi to jakoś wytłumaczyć?

- W takim razie muszę być o wiele lepszym Casanovą, niż kiedykolwiek przypuszczałem!

- Łatwo ci żartować! Ale postaw się w mojej sytuacji... - zawiesiła głos. - Zresztą, jest coraz gorzej. Z początku czułam tylko zapach róż. Teraz widzę już obrazy! To nie jest normalne!

- A co, twoim zdaniem, może to znaczyć?

- Czy ja wiem, może jakieś niedotlenienie mózgu? - zaryzykowała.

- Nie, to nie jest niedotlenienie mózgu - zaprzeczył miękko.

- Więc co takiego dzieje się ze mną? Co jest ze mną nie tak? - W jej głosie słychać było niemal rozpacz.

- Skąd w takim razie wizja mężczyzny z bukietem żółtych róż?

- Możesz go rozpoznać?

- Nie, nie widziałam jego twarzy - zaprzeczyła. - Wiem tylko, że prosił mnie o rękę.

- Ach tak... - W jego głosie słychać było rozczarowanie. Czy tylko jej się tak zdawało? - Mam pomysł. Może poddamy cię małemu testowi?

- Jakiemu znowu testowi?

- Skoro, jak mówisz, to wszystko przydarza ci się tylko wtedy, kiedy cię całuję, może powinniśmy spróbować jeszcze raz? I jeszcze raz, i kolejny? Do momentu, aż wizje nie znikną równie nagle, jak się pojawiły. Co ty na to?

- Nie, dziękuję. - Spojrzała na niego z dezaprobatą.

- To byłoby tak, jak dłubanie w bolącym zębie, w nadziei, że samoczynnie przestanie boleć.

- Porównujesz moje pocałunki do bolącego zęba?! - wykrzyknął, udając oburzenie. Jednak w jego ciepłym, tkliwym spojrzeniu migotały wesołe iskierki. - A to dopiero!

- Dlaczego ciągle odnoszę wrażenie, że wiesz więcej, niż chcesz mi powiedzieć? - zapytała. - Dlaczego?

Jego wesołość ustąpiła nagle miejsca uważnemu skupieniu. Milczał chwilę, jakby zbierając myśli.

- Chciałbym powiedzieć ci wszystko to, co pragnęłabyś usłyszeć. Ale nie mogę.

- W takim razie... - rozpoczęła, wstając z miejsca

- ... ja również nie mam ci nic do powiedzenia. Żegnaj, Joe. I powodzenia na teście.

- Mallory! - Wybiegł za nią. - Zaczekaj!

Nie zatrzymała się. Jej serce drżało jak oszalałe, a żołądek skurczył się jak przedziurawiony nagle balonik.

Nie chciała czekać. Nie mogła. Ponieważ mężczyzną, którego rozpoznała w swych wizjach, był Joe Mitchum.

Joe patrzył, jak Mallory wsiada do samochodu i odjeżdża w stronę swojego domu.

Nie chciał jej zranić, nie zasłużyła na to. Cierpiał razem z nią, jednak nic nie mógł na to poradzić.

Reguły, które przedstawił mu Celestian, były przecież jasne jak słońce. Jeśliby je złamał, mógłby pożegnać się z tym światem i ze swą ukochaną na zawsze. A tego nie chciał za żadne skarby.

Dobrze wiedział, kim był mężczyzna z jej wizji. Mężczyzna z bukietem żółtych róż. Wciąż jeszcze pamiętał ich zapach i to, jak klęczał przed nią, prosząc, by została jego żoną. I obiecując, że zrobi wszystko, by jej życie było szczęśliwe.

Czy mógł podejrzewać wtedy, że do tego, by spełnić swoją obietnicę, będzie potrzebował więcej niż jednego życia?

Przez następne kilka dni Mallory starała się omijać z daleka dom Joego, z wyjątkiem momentów, kiedy Joe prosił ją o pomoc przy Chloe. Nigdy więcej nie wróciła nawet słowem do epizodu z różami ani do ich rozmowy z tamtego wieczora.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, kiedy nadszedł dzień egzaminu, została z Chloe, obiecując posiedzieć przy niej aż do powrotu Joego.

- Powodzenia! - zawołała, widząc, jak z ciężkim sercem wsiada do swojego forda, by ruszyć w kierunku miasta.

Test z języka angielskiego był trudniejszy, niż Joe się spodziewał, lecz pomimo to, kiedy nauczyciel oddał mu jego kartkę, widniała na niej piątka.

To już jest coś! - pomyślał z satysfakcją, szczęśliwy, że stanowisko szeryfa staje się coraz bardziej osiągalne. Jeśli jeszcze pozostałe testy pójdą mu chociaż w połowie tak dobrze jak ten - mógł spać spokojnie.

Jego entuzjazm wygasł jednak zupełnie, kiedy przy swojej furgonetce zobaczył czekającą na niego znajomą postać. Glorietta Tadlock najwyraźniej nie dała jeszcze za wygraną.

- Dzień dobry, pani Tadlock. - Ukłonił się, zamierzając jak najszybciej zająć miejsce za kierownicą samochodu.

- Pani Tadlock? - powtórzyła za nim z rozbawieniem. - Czy nie nazbyt oficjalnie?

Glorietta przysunęła się do niego i dopiero teraz poczuł dolatujący od niej zapach alkoholu.

- Wolałam, kiedy nazywałeś mnie Glori.

- Cóż, jeśli jeszcze pani nie zauważyła - nie robię już wielu rzeczy, które robiłem kiedyś.

- Nie zamierzam być jedną z rzeczy, które przestałeś robić - zaśmiała się. - No dalej, Joe! Co się z tobą stało? Przecież kiedyś było nam ze sobą całkiem dobrze, czyż nie? Mam w bagażniku trochę piwa. Dlaczego nie mielibyśmy pojechać do mnie i zabawić się jak za starych, dobrych czasów?

- Dzięki za propozycję, ale nie zamierzam skorzystać. Naprawdę...

- Chodzi o tę lekarkę, mam rację?

- Co takiego?

- Czy naprawdę wierzysz, że taka kobieta jak doktor Peterson mogłaby kiedykolwiek zainteresować się kimś takim jak ty?

Joe zamierzał odjechać, ale Glorietta wcisnęła głowę przez otwarte okno samochodu.

- Oszukujesz sam siebie, jeśli myślisz, że interesujesz ją choć trochę bardziej niż którykolwiek z jej pacjentów. Panna Doskonała myśli tylko o swojej pracy! Aż dziwne, że jeszcze nie urosły jej skrzydła, a nad głową nie pojawiła się aureolka!

Słowa, których starał się nie słyszeć, kołatały się po jego głowie jak echo.

A jeśli Glorietta miała rację? Jeśli Mallory rzeczywiście nie myślała i nigdy nie pomyśli o nim poważnie? Wtedy wszystko, co robił, nie miało żadnego sensu. Całe jego życie traciło sens.

- Powinna pani wrócić do domu i trochę się przespać!

- A co? Chcesz mnie podwieźć? - Zadzwoiła przed jego nosem swoimi kluczykami. - Jestem, jak widzisz, pod wpływem alkoholu. Mogę stanowić zagrożenie dla siebie i dla innych, czy nie?

Wszystko, o czym marzył, to znaleźć się jak najszybciej w domu i móc porozmawiać w końcu z Mallory.

- No, dalej, Joe! Bądź bohaterem! Zabierz mnie do domu! - Kobieta zatoczyła się, omal nie przewracając się na jezdnię.

Do diabła, nie mógł jej przecież tak zostawić. Inaczej rzeczywiście gotowa była zrobić krzywdę sobie lub komuś innemu.

- Wsiadaj! - rzucił, nie patrząc nawet w jej kierunku.

Uszczęśliwiona Glorietta wypila ostatni łyk piwa i rzuciła butelkę za siebie.

- No nareszcie, skarbie - westchnęła, ładując się obok niego i opierając głowę na jego ramieniu. - Jestem tak zmęczona, że nie marzę o niczym innym, jak tylko o tym, byś zabrał mnie prosto do łóżka.

Mallory zerknęła na zegarek. Było nawet o wiele później, niż się spodziewała.

Gdzie, do diabła, podziewał się Joe? Nawet jeśli napisał test jako ostatni i zaczekał, aż nauczyciel sprawdzi wszystkie prace, już dawno powinien być z powrotem. Zajrzała do Chloe. Dziewczynka spała spokojnym, beztroskim snem. Na odgłos otwieranych drzwi, Celestian, śpiący w nogach łóżka, uniósł głowę.

- Dobry piesek. - Mallory pogłaskała zwierzę po głowie. - Pilnuj Chloe i odpędzaj od niej wszystkie złe duchy.

Celestian warknął cicho, jakby doskonale rozumiał, o czym mówiła.

Wróciła do kuchni i przyszykowała sobie szklanekę wody.

Joe, gdzie jesteś? - powtórzyła w duchu już po raz setny tego wieczora.

Ciekawa była, jak poszedł mu test. Przygotowywał się przecież tak solidnie...

Nagle za oknem rozległ się warkot silnika. Joe parkował na podjeździe.

Mallory ponownie zerknęła na zegarek. Było grubo po północy.

- Przepraszam, że wracam tak późno - odezwał się Joe, stając w progu.

- Nie ma sprawy - odpowiedziała, podnosząc się z miejsca i zbierając swoje rzeczy.

Gdy przechodziła obok niego, nieoczekiwanie poczuła jakiś dziwnie znajomy zapach. Jednak tym razem zdecydowanie nie były to róże. Joe pachniał piwem i tanimi damskimi perfumami.

W pierwszej chwili chciała natychmiast się dowiedzieć, gdzie spędził ostatnie trzy godziny, wypytać dokładnie, co robił. Na szczęście powstrzymała się.

Joe Mitchum był dorosłym, wolnym mężczyzną. Jeśli chciał świętować swój sukces z kimś, kto kupuje perfumy w tanich drogeriach, miał do tego pełne prawo i w żadnym razie nie było to jej sprawą.

Szkoda tylko, że stare przyzwyczajenia wzięły nad nim górę. Gorące kobiety i zimne piwo. Dwa kroki do tyłu w ambitnym programie samodoskonalenia, pomyślała z goryczą.

- Dobranoc, Joe - pożegnała się, przelękając łzy. Nie mogła płakać. Nie z powodu Joego.

- Nie chcesz wiedzieć, jak poszedł mi test? - zagadnął.

- Nie teraz. Jest już naprawdę późno. Muszę iść.

- Dostałem piątkę z plusem - rzucił za nią, próbując ją zatrzymać.

- Moje gratulacje! - odkrzyknęła, nie oglądając się za siebie.

Jeszcze przez chwilę stał rozczarowany w drzwiach wejściowych, patrząc za oddalającą się drobną postacią Mallory.

Tyle zamierzał jej powiedzieć. I tak wiele spodziewał się usłyszeć.

Dzisiejszego wieczora urzeczywistniło się przecież jedno z jego marzeń. Miał ogromną nadzieję, że choć w części było ono również i jej marzeniem.

Tymczasem Mallory wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Słyszała, jak Joe wołał za nią, lecz nie miała najmniejszego zamiaru wysłuchiwać jego kłamstw i fałszywych zapewnień.

Nie mogła przecież dopuścić do tego, by jej serce rozpadło się na drobne kawałeczki.



ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Pss, Joe, obudź się, musimy porozmawiać. Wytrącony z głębokiego snu Joe z trudem podniósł powieki. Pograżona w ciemnościach sypialnia była pusta.

Skąd więc ten dziwnie znajomy głos?

Joe uniósł się na łokciu i rozejrzał się wokoło. Jego uwagę zwrócił ruch w nogach łóżka. Pochylił się, by przyjrzeć się, co to takiego.

- Ach, to ty! - wyszeptał, rozpoznając w białej, puszystej kulce swego psa.

- Ja - przytaknęło zwierzę. - Obudź się, mamy mały problem.

Joe przetarł ręką zaspane oczy. Czy nadal śnił? Dlaczego, do diabła, Celestian-pies odzywa się nagle głosem Celestiana z zaświatów?!

- Co to wszystko...

- Słuchaj, nie mamy teraz czasu na głupie wyjaśnienia, skąd nagle wziął się gadający pies. Zresztą, wpadnę naprawdę w duże tarapaty, jeśli tam, na górze, dowiedzą się, że cię ostrzegłem.

Joe nacisnął włącznik lampy. Poza swymi nieoczekiwanymi, kompletnie niezrozumiałymi umiejętnościami, Celestian-pies wyglądał najzupełniej normalnie.

- Ja chyba śnię...

- Nie, nie śnisz. - Głos dobywający się z pyska zwierzęcia stawał się coraz bardziej poirytowany. - Zrozum, nie mamy teraz czasu na to wszystko. Powtarzam, pojawił się problem!

- Jaki znowu problem?

- Dawny Joe chce z powrotem swoje ciało.

- Co takiego?!

- Wykrył, że podczas transformacji doszło do jakichś nieprawidłowości - tłumaczył zawile Celestian. - Teraz domaga się swoich praw.

- Jakich znowu praw?!

- Do rozpatrzenia jego reklamacji - z ciężkim westchnieniem wyjaśnił Celestian. - Kiedy zobaczył, jak dobrze może sobie radzić tu, na ziemi, zażądał powrotu.

- Co masz na myśli, mówiąc, że dobrze sobie radził?! - wykrzyknął Joe. - Zdaje się, że nikt inny, tylko właśnie ja doprowadziłem do tego, że w jego życiu wreszcie zaczęło dziać się coś dobrego!

- Ale ty jesteś teraz Joem Mitchumem, mam rację? Stary Joe nigdy nie przypuszczał, że jego życie może wyglądać aż tak dobrze. Piękna pani doktor właśnie zaczyna się w nim zakochiwać...

- Jak to w nim?! Chyba we mnie!

- Niech będzie, w tobie.

- Rzeczywiście? - Dopiero teraz dotarło do Joego to, co usłyszał. - Skąd wiesz?

Nie powiedziała przecież ani słowa...

- Zapomniałeś? Tam, na górze, wiemy i słyszymy nawet to, czego nie słyhać tu, na dole - przypomniał mu Celestian. - W każdym razie udało ci się całkowicie odmienić wizerunek dawnego Joego w oczach pani doktor, współmieszkańców i jego samego. Teraz tym bardziej, kiedy w dodatku zostanie nowym szeryfem...

- Zostanie? To znaczy - zostanę? - poprawił się Joe. - Zaraz, zaraz, pozwól, niech ja sobie to wszystko ułożę w jedną całość. Więc chcesz mi wmówić, że po tym wszystkim, kiedy włożyłem tyle wysiłku w odmienienie jego kompletnie zrujnowanego życia, on chce je mieć z powrotem?!

- Tak - potwierdził Celestian, zadowolony, że udało się im dojść do porozumienia. - Jedyłą jego wątpliwość budzi to, czy poradzi sobie z Chloe, ale skoro będzie miał przy sobie doktor Peterson...

- Niedoczekanie! - Joe był bliski rozpacz. - I co się teraz stanie? Kolejna burza i kolejny piorun? I wtedy znowu zamienimy się miejscami?

- Mniej więcej - ponownie potwierdził Celestian i jakby to mogło w czymkolwiek pomóc, dodał: - Przykro mi, stary.

- Czy naprawdę nic nie da się zrobić? W żaden sposób nie można zatrzymać tego koszmaru?! - Joe był już niemal bliski łez. - Kocham Mallory. Kocham Chloe. Nie chcę się z nimi rozstawać. Nie po raz drugi!

- Nic nie mogę powiedzieć.

- Jak to, nic nie możesz powiedzieć? - Joe ze złością popatrzył w oczy psa. - Przychodzisz tu, rozwalasz całe moje życie i nawet nie chcesz mi pomóc?!

- Tajemnica służbowa. Byłoby bardzo nie w porządku, gdybym pisnął ci choć słówko.

- A to, że już po raz drugi niszczysz moje życie? Czy to jest w porządku?

Pies zawahał się. Minęła dłuższa chwila, zanim z jego pyska ponownie wydobył się głos.

- Warunkiem, pod którym mógłbyś tu zostać, jest miłość Mallory. Musiałaby przysiąc ci dogonną miłość i obiecać, że spędzi z tobą resztę życia.

Słyszając to, Joe odetchnął z wyraźną ulgą.

- To wszystko? Tylko tyle?

- Sądziś, że to mało?

- Powiedziałeś przecież, że jest we mnie zakochana.

- Nie słyszałeś? - Oczy psa spojrzały na niego z wyrzutem. - Ona sama musi ci to wyznać. A na to, przyznasz, są jak na razie małe szanse.

- Ile zostało mi czasu?

- W tym właśnie problem. Nie mam najmniejszego pojęcia. Chłopcy z Departamentu Sił Naturalnych rządzą się swoimi prawami. - Celestian westchnął ciężko.

- To może być jutro, za tydzień... Może nawet za rok. Sam najlepiej wiesz, jak względną rzeczą jest czas.

- Nie dla mnie - Joe zaprotestował gwałtownie, patrząc, jak pierwsze promienie wschodzącego słońca prześwitują jeden po drugim przez zaciągnięte zasłony.

- Nie teraz, kiedy stawką jest miłość Mallory.

Następnego dnia rano wszystko wydawało się nie takie, jak powinno. Joe miał głowę zaprzątniętą jedynie wspomnieniem nocnej rozmowy z Celestianem. Nie mógł pozbyć się paraliżującego wrażenia, że wszystko, co robi, robi po raz ostatni w życiu.

Na domiar złego to właśnie na dzisiaj przypadał dzień jego rozstania z Chloe. Mała wracała do matki. Czas, który jeszcze przed miesiącem wydawał mu się nieskończenie długi, przeminął w okamgnieniu.

- No dalej, skarbie - ze ściśniętym sercem pospieszał dziewczynkę. - Trzeba jeszcze spakować twoje zabawki.

- Czy naprawdę muszę się wyprowadzać?

- A nie chcesz zobaczyć mamusi?

- Jasne, że tak. - Dziecko pokiwało poważnie główką. - Ale nie chcę rozstawać się z tobą.

- Wiem, kochanie. Ja też tego nie chcę. - Joe posadził sobie Chloe na kolanach. - Posłuchaj, mam pewien pomysł. Będziesz przyjeżdżać do mnie w każdy weekend i zostawać aż do niedzieli, co ty na to?

Miał tylko nadzieję, że to, co mówił, nie okaże się kłamstwem. A co, jeśli dawny Joe znowu nawali? Jedno było pewne - nie zasługiwał ani na Chloe, ani na Mallory.

- Zgoda. A nie będzie ci smutno?

- Będę za tobą tęsknił, ale - nie, nie będzie mi smutno. Zobaczysz, tydzień szybko minie.

- Bardzo cię kocham, Joe.

- I ja cię kocham, skarbie.

- Wiem, że nie jesteś moim tatusiem, ale czy zostaniesz z nami już na zawsze? - wyszeptała mu prosto do ucha.

Na zawsze? Serce Joego ścisnęło się w tępy ból. Jak mógł jej to obiecać, kiedy nie wiedział, czy zostanie tu choćby do jutra?

- Na zawsze pozostaniesz moją ukochaną małą dziewczynką - wyszeptał, tłumiąc napływające do oczu łzy. - Aż do końca świata...

Joe, Joe, Joe...

Mallory nie mogła sobie darować, że pozwoliła, by zawładnął jej sercem aż do tego stopnia.

Jak to się właściwie stało, że dzień po dniu stawał się dla niej kimś coraz ważniejszym? Nigdy nie powinna była tracić kontroli nad sytuacją, ani poddawać się zgubnemu wpływowi emocji. Wcześniej czy później oznaczało to tylko jedno - kolejne rozczarowanie. Tak jak w dniu, kiedy Joe zdawał swój egzamin...

Zresztą, jeden z pacjentów, mieszkający naprzeciwko Glorietty Tadlock, widział, jak tamtego wieczora ona i Joe stali pod drzwiami jej domu.

Jeśli wierzyć słowom pacjenta, kobieta wręcz wisiała na ramieniu Joego. To jedynie potwierdziło wcześniejsze domysły Mallory na temat tego, co takiego mógł robić Joe w czasie owych tajemniczych trzech godzin, kiedy czekała na niego w jego domu.

Cóż, najwyraźniej on i Glorietta byli sobie warci.

Mallory załadowała torbę podróżną do bagażnika samochodu. Zamierzała skorzystać z zaproszenia Dorian i Brindona i odwiedzić ich w końcu w ich nowym domu. To, czego w tej chwili potrzebowała najbardziej, to zmiana otoczenia i długa, szczerza rozmowa z przyjaciółmi, Dorian i Brindon doskonale nadawali się do tej roli.

Jej rozmyślania przerwał nieoczekiwanie głos Joego.

- Witaj, Mallory. - Stał w otwartych drzwiach kliniki. Wysoki i diabelnie przystojny.

- Och, Joe - skinęła głową.

- Przyszedłem ci podziękować.

- Podziękować? - powtórzyła za nim zaskoczona.

- Gdyby nie ty, z pewnością nie poradziłbym sobie z testem. - Zdejmując z głowy kapelusz, skłonił się przed nią w uroczym, starodawnym geście. Widząc jej wyładowany bagażnik, dodał: - Czyżbyś się dokądś wybierała?

- Tak - potwierdziła sucho. - Zamierzam wyjechać na weekend.

Uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca zaskoczeniu, a następnie jakiejś niewytłumaczalnej panice.

- Branda przyjechała po Chloe - odezwał się ponownie po krótkiej chwili milczenia. - Zanim odjechały, mała nazwała mnie swoim tatą.

Więc Joe zdał na piątkę więcej niż jeden test, przeleciało przez głowę Mallory. Najwyraźniej serca małych dziewczynek są o wiele bardziej zdolne do przebaczenia niż tych dużych. Gdyby ona sama mogła spojrzeć na świat oczami dziecka! Ufnie i beztrąsko, bez niepotrzebnych wątpliwości i strachu przed przegraną...

Z sercem gotowym do miłości.

- Prawdę mówiąc, przyszedłem, by zaproponować ci wspólną kolację - usłyszała jego głos. Starła się nie patrzeć na niego, więc nie mogła widzieć wyrazu jego oczu. - Czy nie zechciałabyś zmienić swoich planów?

- Nie sądzę, by to było możliwe.

- Mam wrażenie, że ostatnio mnie unikasz.

- Byłam bardzo zajęta. - Zajęta próbą pozbycia się go ze swoich myśli i ze swego serca. - Czy chciałbyś czegoś jeszcze, bo powinnam już jechać?

- Tak - skinął głową. W jego głosie zabrzmiała ledwie dosłyszalna nadzieja. - Chciałbym, żebyśmy mogli być razem. Żebyśmy potrafili zapomnieć o przeszłości i mogli żyć przyszłością. Wspólną przyszłością. Stał tak blisko, że czuła delikatny zapach wiatru, jaki przyniósł ze sobą. Tak blisko, że wystarczyłby jeden mały krok, by znów znaleźć się w jego ramionach i poczuć się w nich bezpiecznie i szczęśliwie. By znowu poczuć zapach róż...

- Pozwól mi odejść, Joe - odezwała się zdrewniałym głosem, otwierając drzwi samochodu.

- Jak mogę pozwolić ci odejść... - zawołał, chwytając ją w ramiona i obracając ku sobie - ... kiedy tak ogromnie cię kocham! Do diabła, Mallory, nie tak miałem ci o tym powiedzieć!

Nie potrafiła odpowiedzieć mu ani słowa. Nie potrafiła nawet na niego spojrzeć.

- Nie zostawiaj mnie tak, Mallory - poprosił cicho. - Możemy już nigdy nie dostać drugiej szansy...

Mallory nie chciała tego słuchać. Nie czekając na nic więcej, obróciła się i wsiadła do auta. Włączyła silnik i w jednej chwili ruszyła przed siebie. Była dalej od niepewności, bólu, rozczarowania. Z dała od Joego.

I tylko jedna, niespokojna myśl powoli kiełkowała w jej głowie.

Że może to nie Joe był tym, kto się nie zmienił. Że może tym kimś była właśnie ona.

Nadal nie potrafiła zaufać. Ani jemu, ani sobie samej. Nie potrafiła zaufać miłości.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tego popołudnia w obszernej kuchni domu Burrellów Mallory z zapalem oddawała się rozmowom na temat pracy Brindona i Dorian, ich dziecka, zmian, jakie wniesie ono w ich życie, jak również na szereg innych tematów, z których połowa interesowała ją tyle co zeszłoroczny śnieg.

- W porządku, Mallory - usłyszała w końcu z ust Brindona. - Przestań wreszcie udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku i powiedz, co takiego zaprzęta ci głowę.

- Jestem aż tak przezroczysta? - zapytała, nie dziwiąc się jednak zbyt spostrzegawczości przyjaciela. Oboje znali się zbyt dobrze, by cokolwiek uszło jego uwagi.

- Yhm - potwierdził. - Więc o co chodzi?

- Właściwie nie wiem. Ale dzieje się ze mną coś dziwnego - wyznała cicho, a następnie szczerze opowiedziała o wszystkim, co ostatnio wydarzyło się w jej życiu. O różach, o mężczyźnie z bukietem w dłoni, o wszystkim, co czuła, kiedy w pobliżu znajdował się Joe. - Powiedz mi, proszę, że nie zwariowałam!

- Nie, nie zwariowałaś - spokojnie potwierdził Brindon. - Wręcz przeciwnie, zakochałaś się.

- Tego się właśnie obawiałam - westchnęła ciężko, najwyraźniej niezadowolona z jego diagnozy. - Wytłumacz mi, jak to możliwe?

- Cóż, to będzie raczej trudne, bo miłość z natury swojej jest nielogiczna, jednak... Niektórzy słyszą dzwony, inni czują, jak ziemia usuwa się im spod stóp. Przyznaję, że zapach róż wychodzi trochę poza normy znanych mi zachowań, jednak z tego, co pamiętam, zawsze byłaś odrobinę niekonwencjonalna.

- Ale czy... - zawahała się. - Czy wierzysz w to, że Joe rzeczywiście się zmienił?

- Chcesz poznać moje zdanie? Uderzenie pioruna rzeczywiście pobudziło go do życia, jednak to ty byłaś powodem, dla którego zapragnął żyć. I zmieniać się.

- Czy mogę być tego pewna?

- Nigdy nie spotkałem człowieka, który byłby aż tak zaślepiiony miłością do kobiety jak on. No, chyba tylko jeszcze ja. On cię naprawdę kocha, oto, czego możesz być pewna.

- Joe zmienił się, wiem o tym. Czy jednak zmienił się wystarczająco? Ludzie widzieli go znowu z Gloriettą Tadlock. Gdy wrócił do domu tego wieczora, kiedy zdawał egzamin, czułam od niego zapach piwa i tanich perfum. Co powiesz na to?

- Zdziwię cię, ale i na to znam odpowiedź. - Briny uśmiechnął się z satysfakcją. - Joe opowiadał mi o tym zdarzeniu. Postanowił odwiedzić Gloriettę do domu, bo była kompletnie pijana, a on bał się, żeby nie zrobiła krzywdy sobie lub komuś innemu.

- Nie było go ponad trzy godziny!

- Podała mu zły adres. Potem wyrzuciła klucze przez okno samochodu. Robiła wszystko, by go przy sobie zatrzymać.

Więc to tak? Dlaczego jej nie powiedział? A czy go pytała?

- Uwierz mi, Mallory - Briny spojrzał na nią z powagą. - To prawda, w przeszłości Joe rzeczywiście wiele narozrabiał i oboje o tym wiemy. Jednak ta część jego życia jest już dawno zamkniętym rozdziałem.

Słowa przyjaciela głęboko zapadły w serce Mallory i jak ciepły, letni wiatr zaczęły powoli rozpuszczać lody jej nieufności i rozpraszać wątpliwości.

Może Briny miał rację? Może nie na wszystkie pytania udaje się od razu znaleźć odpowiedź? Może trzeba pogodzić się z tym, że na niektóre z nich odpowiedź po prostu nie istnieje?

A ona? Cóż, wszystko, co mogła zrobić, to zaryzykować. Dać sobie szansę. Inaczej być może nigdy nie dowie się, co znaczy kochać, co znaczy być szczęśliwą. Nawet jeśli czasami miałyby to być szczęście przez łzy.

Joe rozejrzał się po domu. Bez Chloe wydawał mu się przerażająco pusty.

Wyjechała zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, a on już za nią tęsknił. Przecież był teraz jej ojcem.

Co się stanie, kiedy nagle jego miejsce zajmie dawny Joe? Jak biedna mała Chloe to przyjmie?

Do diabła, on wcale nie chciał odchodzić! Czy ktoś w ogóle zapytał go o zdanie?!

Przy drzwiach dało się słyszeć drapanie psich pazurów. Joe podniósł się z miejsca, by wpuścić zwierzę do środka. Otworzył i wyjrzał na zewnątrz.

To wprost nieprawdopodobne, jak bardzo zmieniło się niebo w ciągu zaledwie kwadransa. Wbrew temu, co zapowiadały prognozy, zbierało się na deszcz. Ciemne,

masywne chmury zasłoniły niemal cały nieboskłon, rozciągając się aż po horyzont, a chłodny wiatr niespokojnie szarpał cienkie gałązki drzew.

Nagle niebo rozcięła błyskawica, a po niej rozległ się ponury grzmot.

Czyżby to już teraz? - przebiegło przez głowę Joego.

Jeśli nawet, nie potrafił temu w żaden sposób zapobiec, Mallory nie była jeszcze gotowa, by przyznać sama przed sobą, że go kocha, a co dopiero ogłosić to całemu światu... Poza tym, nawet nie było jej w mieście. Co robić?

Ze smutkiem rozejrzał się dokoła. Tu był jego dom. Ciężko zapracował na to, by go odzyskać. Równie ciężko zapracował sobie na szacunek ludzi i miłość Chloe. Dlaczego nagle teraz miałby to wszystko stracić?

Tak wiele zostało mu tu jeszcze do zrobienia...

Jednak ze słów Celestiana wynikało, że mógł zostać odwołany każdego dnia. W każdej chwili, sądząc po tym, co działo się teraz na niebie.

Dawny Joe musiał być chyba wyjątkowo niecierpliwy. Spieszyło mu się...

Przymknął powieki i wierzchem dłoni wytarł napływające do oczu łzy. Jak więzień, nie znający dnia ani godziny, nie widział sensu w dalszym życiu. Niczego nie mógł już pragnąć, bo jego pragnienia i tak nie zdążą się spełnić. O niczym nie powinien już marzyć, bo jego marzenia na pewno nie zostaną zrealizowane.

Wpuścił psa do środka i ruszył w stronę samochodu.

Chciał odjechać stąd dokądkolwiek, byle dalej. Nie potrafił tak beczynnie siedzieć i czekać na swą ostatnią godzinę, jak skazaniec na wyrok.

Do diabła, wciąż jeszcze żył! Może więc nie wszystko było stracone?

Siedzący w barze ludzie odwrócili się, kiedy stanął w drzwiach. Kilka osób skinęło mu na przywitanie głowami.

- Witaj, Dot - odezwał się do stojącej za kontuarem kobiety. - Przyszedłem zjeść jakiś obiad.

- Siadaj, Joe - odpowiedziała z uśmiechem. - Zaraz do ciebie podejść. Co za psia pogoda... W telewizji mówili, że dawno nie widzieli, by tornado przemieszczało się aż z taką prędkością!

Tornado? Więc jednak ci na górze okazali się bardziej kreatywni, niż sądził!

- Proszę. - Dot postawiła przed nim dymiący talerz z ziemniakami, kawałkiem kurczaka i surówką.

Joe podziękował skinieniem głowy, śmiejąc się w duchu gorzko, że nawet skazańcowi przysługuje przecież ostatni posiłek. Szybko opróżnił zawartość talerza, choć wcale nie czuł smaku.

W kawiarni zostało zaledwie kilkoro klientów, a i ci zbierali się już do wyjścia. Ostrzeżenia przed tornadem stawały się coraz bardziej poważne, ludzie woleli więc skryć się na ten czas we własnych domach.

- Możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz. - W oczach Dot kryła się życzliwa troska.

- Dzięki.

W niecały kwadrans później u drzwi wejściowych ponownie odezwał się dźwięk dzwonka. W progu stał szeryf - Nate Egan.

- Dobrze, że cię tu znalazłem, Joe - zwrócił się do niego bez zbędnych ceregieli. - Mam do ciebie sprawę. Skoro najprawdopodobniej ty właśnie obejmiesz po mnie funkcję szeryfa, to czy mógłbyś mi pomóc?

- Jasne - skinął głową. Chociaż niemal pewne było, że w dniu wyborów już dawno go tu nie będzie. - Powiedz tylko, co mam zrobić.

- Chodzi o zawiadomienie ludzi o zbliżającym się tornadzie. Możemy podzielić się rejonami i każdy z nas zawiadomi swoją część.

- W porządku. - Joe podniósł się z miejsca. - Powiedz tylko, od czego mam zacząć.

Założył na głowę kapelusz i obaj z szeryfem ruszyli w kierunku wyjścia.

- Do diabła - zaklął Nate pod nosem. - Jeszcze wczoraj wszystko wskazywało na to, że przed nami co najmniej tydzień kompletnej suszy, a tymczasem...

Joe przełknął głośno ślinę. Cóż, przecież szeryf nie mógł nic wiedzieć o Departamencie Sił Naturalnych. I o tym, że komuś tam na górze najwyraźniej bardzo spieszyło się do powrotu.

Joe przejechał już niemal cały obszar, jaki wyznaczył mu szeryf. Pozostało mu już tylko kilka ulic.

Jego samochód zatrzymał się przed barem Peta. Najwyraźniej wiadomość o tornadzie dotarła już i tutaj, bo na podjeździe przed lokalem stał tylko jeden wóz. Na nieszczęście było to auto Glorietty Tadlock.

- Nigdzie się stąd nie ruszę! - zawołała, kiedy Joe wszedł do środka i wyjaśnił, o co chodzi.

- Musi pani schronić się w bezpieczniejszym miejscu tak szybko, jak tylko to możliwe - spróbował ponownie.

- Niczego nie muszę, panie Mitchum - stwierdziła z przekąsem. - A zresztą, co ty, do diabła, sobie wyobrażasz? O ile wiem, wybory na stanowisko szeryfa jeszcze się nie odbyły!

- Szeryf Egan poprosił mnie o pomoc.

- O mnie możecie się nie martwić. Jestem już dużą dziewczynką.

Joe nie zamierzał tracić więcej czasu na bezsensowne utarczki. Do zawiadomienia zostało mu jeszcze parę domów. Poza tym musiał upewnić się przecież, że Mallory jest już bezpieczna.

- Jak pani sobie życzy - odezwał się od drzwi. - Radzę jednak nie zwlekać zbyt długo. Tornado może być bardziej poważne w skutkach, niż się pani tego spodziewa.

Skąd wziął się ten nagły wiatr?

Mallory zwolniła nieco, bo przed przednią szybą jej samochodu nastąpiła nagle kompletna ciemność. Zupełnie jakby czarne, burzowe niebo zatrzymało się właśnie na masce jej furgonetki.

Pomimo zdenerwowania, jakie nagle zaczęło się jej udzielać, lub może z tego właśnie powodu, jej myśli nie przestawały krążyć wokół jednej tylko osoby - wokół Joego.

Nie mogła pozbyć się naglej, ale przemożnej ochoty, by go zobaczyć, by z nim porozmawiać, by go przytulić. Jakiś dziwny instynkt nakazywał jej odnaleźć go tak szybko, jak tylko to możliwe. Tajemnicza siła nie pozwalała jej czekać. Musiała działać natychmiast.

Nagle zdała sobie sprawę z czegoś na pozór nielogicznego. Tłumiąc głos rozsądku i usiłując zawierzyć głosowi serca, uświadomiła sobie że... Joe to nie Joe.

Był mężczyzną z jej marzeń. Nie знаła jego twarzy ani imienia, jednak gdzieś głęboko w środku czuła, że pierścionek i zapach róż nie były jedynie wytworem jej wyobraźni. Że gdzieś daleko stąd istniał odległy świat, w którym oboje - ona i on - wiedli ze sobą dobre, szczęśliwe życie. Potwierdzenie tego wszystkiego widziała przecież niejednokrotnie w ciepłym spojrzeniu Joego.

Kiedy wreszcie znalazła się w mieście, odczuła lekką ulgę, chociaż ulice były kompletnie wyludnione i nigdzie wokół nie widziała żywego ducha.

Przez zalaną deszczem szybę niedaleko domu Bena Smitha ujrziała nagle dwie męskie postacie. Podjechała bliżej i nie wierząc własnemu szczęściu, w jednej z nich rozpoznała Joego. Zmarznięty i przemoczony pomagał Benowi zapanować nad zerwanym przez wichurę kablem elektrycznym, z którego raz po raz strzelała fontanna iskier.

Nie, tylko nie to! - przeleciało nagle przez głowę Mallory. To nie może się przecież powtórzyć!

I znowu, jak poprzednio, poddając się nagłemu, przedziwnemu impulsowi, wyskoczyła z samochodu i nie zważając na zimno i strugi deszczu, wykrzyczała:

- Kocham cię, Joe! Zawsze cię kochałam! Pragnę zostać z tobą do końca życia!

Jakby w odpowiedzi na jej wyznanie, ogłuszający, porywisty wiatr ustał nagle i wokół zrobiło się kompletnie cicho. Równocześnie, jak za sprawą jakiegoś czarodziejskiego triku, czarne, masywne chmury rozstały się, ukazując oczom ludzi rozświetlone słonecznym blaskiem niebo.

- Ja także cię kocham - wyszeptał Joe do ucha Mallory, przygarniając ją do siebie czule.

Jego usta z łatwością odnalazły drogę do jej warg i złożyły na nich namiętny pocałunek.

- Jesteś nim, prawda? - zapytała, a w kącikach jej oczu zalśniły łzy.

- Oczywiście, że tak - potwierdził. - Jestem tym, który ma zamiar uczynić cię szczęśliwą do końca życia. A nawet dłużej.

Spojrzała w jego wielkie, mądre oczy i zrozumiała, że wszystko, co mówił, było prawdą. Czekala ich wspólna przyszłość, tak wspaniała, że mogłaby pomieścić więcej niż tylko jedno życie.

Przed nimi była wieczność.

EPILOG

Burza osiągała chyba właśnie swoje apogeum, kiedy Glorietta Tadlock opuszczała „Pete's Bar” i zasiadała za kierownicą swego niebieskiego chevette'a.

Nie robiła tego z powodu Joego i jego głupiego nakazu, o nie! Nikt przecież nie będzie jej rozkazywał, a już na pewno nie on!

Glorietta włączyła silnik i ruszyła z piskiem opon. Nie ujechała nawet kilkudziesięciu metrów, jak zdała sobie sprawę z tego, że wszystko, co Joe mówił o tornado, było najwyraźniej prawdą.

Szczerze mówiąc, im bardziej oddalała się od miasta, tym jej przerażenie zaczynało nabierać coraz bardziej monstrualnych rozmiarów.

W pewnym momencie niebieski chevette wpadł w kompletną ciemność. Po chwili wirował już z zawrotną prędkością w samym oku cyklonu. Glorietta zamarła.

Burza ucichła równie nagle, jak się rozpętała. Niebo rozjaśnił blask słońca.

Nieco poturbowany niebieski chevette stał na środku drogi, niczym porzucona przez duże, rozwydrzone dziecko zabawka.

W środku, nieco jeszcze oszołomiona tempem rozwoju ostatnich wydarzeń, siedziała Glorietta Tadlock, a przynajmniej jej ciało.

Nowy rezydent, który przed chwilą w nim zamieszkał, rozglądał się wokół z rosnącym zainteresowaniem. Jednak już po chwili zainteresowanie ustąpiło miejsca panice.

Jaskrawo wymalowane paznokcie, motyw motyla wytatuowany na prawym przedramieniu, duszący zapach tanich perfum...

Nie, tylko nie to! Niech ktoś powie, że to nieprawda!

W tej chwili dawny Joe mógłby usłyszeć od nowego tylko jedno - przebudzenie w czyimś ciele jest zupełnie, ale to zupełnie niezwykłym, z niczym nie dającym się porównać doświadczeniem.

